

Wydawnictwo Miejskie

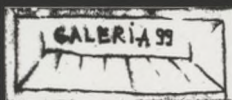
GAZETA
ŚREMSKA

SSN 1231-7476 MIESIĘCZNIK NR 9/10 WRZESIEŃ/PAŹDZIERNIK ROK XIII CENA 2,00 ZŁ



35-lecie Odlewni Żeliwa w Śremie





KATARZYNA WŁASIŃSKA

Pejzaże 2000-2003
październik

Muzeum Śremskie zaprasza

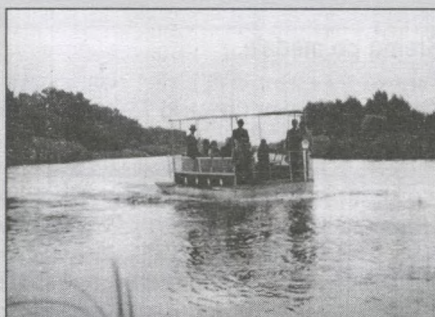
W numerze wrześniowo-październikowym:



Z ŻYCIA CEGIELSZCZAKA 8



**EDMUND BOJANOWSKI
- TWÓRCA OCHRONEK
I ZAŁOŻYCIEL ZGROMADZENIA
SŁUŻEBNICZEK 20**



CZY ZNASZ TAKI ŚREM 12



LISTY DO BRATA 17



UNRUGOWIE 30

Wieści z ratusza



Inauguracja roku szkolnego 2003/2004 w nowym Zespole Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Dąbrowie

1 września o godz. 13.00 nastąpiło otwarcie nowej placówki oświatowej na terenie naszej gminy. Burmistrz Krzysztof Łożyński przekazał klucze do szkoły Barbarze Wierzbńskiej, dyrektor nowo powstałego zespołu. Uroczystość otwarcia nowej placówki była jednocześnie gminną inauguracją nowego roku szkolnego dla dzieci i młodzieży.

Nowoczesny budynek powstał w dwa lata. Inwestycję rozpoczęto 6 września 2001r., w następnym miesiącu wmurowano kamień węgielny pod budowę szkoły. Całkowity koszt budowy wyniósł 2.946.000 PLN, wyposażenie pochłonęło 43.000 PLN, a ośmiostanowiskowa pracownia komputerowa 12.850 PLN.

W budynku nowej szkoły w Dąbrowie mieści się 9 izb lekcyjnych. Jedna część budynku jest przeznaczona dla gimnazjalistów, a druga dla uczniów podstawówki i oddziału przedszkolnego. Szkoła posiada świetlicę, nowoczesną salę gimnastyczną wraz z kompleksem boisk sportowych: do piłki nożnej, koszykowej, ręcznej, kort tenisowy, część lekkoatletyczną i plac zabaw dla najmłodszych.

Gimnazjalistów w Dąbrowie będzie w tym roku 51, uczniów podstawówki 100, a przedszkolaków 25. W zespole szkół uczyć się będą dzieci z Dąbrowy, Grodzewa, Mechlina, Kalej, Lucin i Mateuszewa.

Uczniowie nowej szkoły zaprezentowali zebrany gościom program artystyczny, a uroczystości inauguracyjne uświetniły polonezem.

Stypendia Burmistrza

Na rok szkolny 2003/2004 przyznano 42 wyróżnienia w postaci stypendiów dla uczniów szkół podstawowych i gimnazjów gminy Śrem. Każdy ze stypendystów otrzymywać będzie od września do sierpnia gratyfikację finansową w wysokości 131,40 PLN miesięcznie. W tym roku stypendia otrzymali: za osiągnięcia w nauce - Olimpia Tobiasz, Krzysztof Choma, Aleksandra Graczyk, Agnieszka Łabenda, Weronika Mikołajczak, Marta Budzyn, Weronika Karlińska, Małgorzata Ciesielska, Maria Błaszczuk, Sandra Roszyk, Dagmara Frydryszak, Mikołaj Mozgawa, Anna Ro-

manowska, Katarzyna Tiszer, Kamila Kacprzak, Dawid Lewandowski; za osiągnięcia w sporcie - Klaudia Jankowska, Sebastian Bugajewski, Bartosz Kałużny, Jacek Tomczak, Emilia Szczepaniak, Klaudia Wawrzynowicz, Julia Rydzewska, Martyna Graczyk, Zuzanna Młodak, Alicja Kaczmarek, Magdalena Wybieralska, Klaudia Grobelna, Zuzanna Gendeka, Krzysztof Hyży, Jakub Karman, Paweł Kubala, Justyna Kurek, Marek Pietraszewski, Zofia Pietraszewska, Bartosz Frąckowiak, Bartosz Owczarzak, Tomasz Owczarzak, Magdalena Stachowska, Karolina Skibiak, Bogna Wawrzyniak, Szymon Gołaszewski.

Do Śremu po medale...

Sztafeta i Maraton Pływacki 75 km rzeka Warta

W sobotę 19 lipca 2003r. o godz. 6.00 z miejscowości Łąd wystartowali zawodnicy - mieszkańcy Śremu, którzy sztafetą pływacką chcieli uczcić obchody 750-lecia naszego miasta. W sztafecie brało udział 27 pływaków.

Równolegle i samodzielnie jubileuszowy dystans zdecydował się pokonać Roman Bartkowiak, który tuż przed godz. 22.30 dopłynął do mety pod mostem na śremskim odcinku Warty, wpisując swój niebywały wyczyn do księgi rekordów Guinnessa.

Motorowodne Mistrzostwa Europy w klasie S-550 - 30,31 sierpnia 2003r.

W sobotę, przed godziną 16.00 na Jeziorze Grzymskim pojawiły się pierwsze łodzie. Motorowodniacy przystąpili do treningu, biegów kwalifikacyjnych, a po nich rozpoczęły się zawody mistrzowskie. Poza wyścigami mistrzowskimi w klasie S-550, zawodnicy startowali w klasach towarzyszących T-550, JT-250, SN-400. Najwięcej emocji dostarczyły oczywiście wyścigi mistrzów. Zwycięzył broniący tytułu Polak, Lechosław Rybarczyk. Niespodziewanie, 17-letni reprezentant Polski Łukasz Ciołek uplasował się na drugim miejscu przed Węgrem - Gaborem Toth.

Uroczysta ceremonia zamknięcia mistrzostw odbyła się w niedzielę na śremskim rynku. Zanim pojawili się główni bohaterowie imprezy, licznie zebranych mieszkańców zabawił Krzysztof Piasecki. Następnie przystąpiono do uhonorowania mistrzów medalami i pucharami.

Foto: Stefan Bartkowiak



Mistrzostwa Polski Seniorów we Florecie - 6,7 września 2003r.

Najlepsi floreciści i florecistki naszego kraju zmagali się o tytuły mistrzowskie na śremskiej sali SOSiR. Pierwszego dnia do rywalizacji o tytuł Mistrza Polski stanęło 55 zawodników i 29 zawodniczek. Zwycięzcami zostali broniący swoich tytułów faworyci: Sławomir Mocek z Poloni Leszno i Sylwia Gruchała z Sietom AZS-AWF Gdańsk.

Drugiego dnia rozegrano walki o medale Drużynowych Mistrzostw Polski, w których brało udział 10 ekip męskich i 5 żeńskich. Najlepsi okazali się reprezentanci Sietomu I AZS AWF Gdańsk, którzy pokonali Wartę Poznań. Wśród kobiet bezkonkurencyjna była pierwsza reprezentacja Sietomu AZS-AWF Gdańsk.

I Międzynarodowy Spływ Niepełnosprawnych

W sobotę 6 września 2003r. na nadwarciańskiej łące przy moście w Śremie zgromadzili się ochotnicy spływu kajakowego, zorganizowanego przez Stowarzyszenie "Niepełnosprawni - Normalna Sprawa". Honorowym starterem imprezy i jednocześnie uczestnikiem był Burmistrz Śreму Krzysztof Łożyński. Bliższa setka uczestników z Izabelą Dylewską (medalistką Igrzysk Olimpijskich w Seulu) na czele wyruszyła na trasę

pierwszego etapu do Jaszkowa. Drugiego dnia spływu, zwodowane kajaki ruszyły w kierunku Puszczykowa. Po 25 km etapie nastąpiła krótka regeneracja, by ruszyć do finałowego odcinka, z metą na przystani KS "Stomil" w Poznaniu. Jako pierwsi na metę dotarli Marcin Klemenczak ("Gepard" Śrem) i Beata Stachura (ratownik z Poznania). Wszyscy uczestnicy pokonując dystans 47 km na trasie ze Śreму do Poznania, ustanowili kolejny ze swoich rekordów.

Dożynki Gminne w Dąbrowie

14 września 2003 r. sołtys i rada sołecka wsi Dąbrowa podjęli się organizacji tegorocznych dożynek. Tradycyjnie dożynki rozpoczęła msza św. połowa, przy budynku nowego Zespołu Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Dąbrowie. Następnie korowód dożynekowy przemarszował na teren byłej szkoły, gdzie odbyły się obrzędy dożynekowe. Starostami tegorocznych dożynek byli Pani Małgorzata Stępa (rolnik ze wsi Dąbrowa) i Pan Marian Mieloch (rolnik ze wsi Wirginowo). Część artystyczną uświetniła

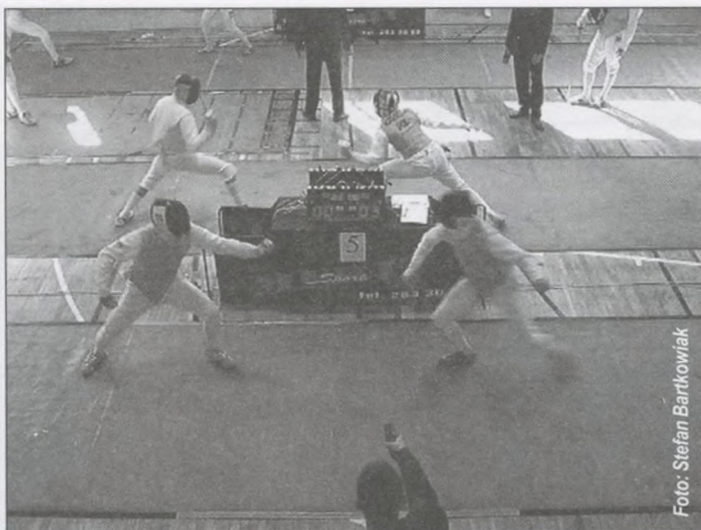


Foto: Stefan Bartkowiak

grupa dzieci i młodzieży z miejscowej szkoły oraz zespół folklorystyczny Chociczanie działający przy Ośrodku Kultury w Nowym Mieście. Dożynki gminne zakończyła zabawa taneczna.



13 września odbyło się II Spotkanie Chóralne z udziałem zaprzyjaźnionych chórów "Lutnia" z Kościana, "Harfa"

z Czempinia, "Cecylia" z Mosiny i "Moniuszko" ze Śremu. Motywem przewodnim było 750-lecie Śremu, 50-lecie Ce-



chu oraz 111 rocznica pierwszego występu śremskiego chóru. Gościem Honorowym był burmistrz Śremu Krzysztof Łożyński, Starszy Cechu Śremskiego Antoni Ozimek oraz delegacje cechów zaprzyjaźnionych miast. (o szczegółach w Nr 11/12/03 GŚ)



Foto: archiwum



**UCHWAŁA NR 112/XIV/03
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 11 września 2003 r.**

w sprawie zaliczenia dróg do kategorii dróg gminnych.

Na podstawie art. 7 pkt 2 ustawy z dnia 21 marca 1985 r. o drogach publicznych (Dz. U. z 2000r. Nr 71, poz. 838 ze zmianami) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Zalicza się do kategorii dróg gminnych następujące ulice we wsi Nochowo:

- Okrężna,
- Kameralna,
- Boczna,
- Gościńska.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

**UCHWAŁA NR 113/XIV/03
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 11 września 2003r.**

w sprawie opłaty administracyjnej za wypisy i wyrisy

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 8 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.), art. 18 i art. 19 pkt 1 lit. d ustawy z dnia 12 stycznia 1991 r. o podatkach i opłatach lokalnych (Dz. U. z 2002 r. Nr 9, poz. 84 z późn. zm.) oraz art. 30 ust. 2 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (Dz. U. Nr 80, poz. 717) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Ustala się opłatę administracyjną za wydane wypisy i wyrisy ze studium lub planu miejscowego w wysokości:
- za wypis:

do 5 stron 30,00 zł
od 6 do 20 stron 60,00 zł
powyżej 20 stron 190,00 zł
- za wyrys w formatach:
od A4 do A3 20,00 zł
od A2 do A0 100,00 zł

§ 2

Oплата administracyjna pobierana jest przed dokonaniem czynności urzędowej, na rachunek gminy.

§ 3

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 4

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 5

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

**UCHWAŁA NR 114/XIV/03
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 11 września 2003r.**

zmieniająca uchwałę w sprawie Statutu gminy Śrem.

Na podstawie art. 169 ust. 4 ustawy z dnia 2 kwietnia 1997r- Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej (Dz. U. Nr 78, poz. 483) i art. 3 ust.1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.), Rada Miejska w Śremie uchwała, co następuje :

§ 1

W Statucie gminy Śrem uchwalonym uchwałą Nr 84/IX/03 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 25 kwietnia 2003 r. w sprawie Statutu gminy Śrem (Dz. Urz. Woj. Wielkopolskiego Nr 103 z 2003r., poz. 1894) załącznik nr 3 otrzymuje brzmienie określone w załączniku do niniejszej uchwały.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

Załączniki i uzasadnienia do uchwał XIV Sesji Rady Miejskiej z dnia 11 września 2003 roku do wglądu w siedzibie Urzędu Miejskiego w Śremie

Patrzysz i myślisz, że wiesz

Od dawna da się zaobserwować, że poszły w zapomnienie lata, miesiące i dni, kiedy czytano tylko i wyłącznie literaturę lekką, łatwą i przyjemną (aczkolwiek lekkimi, łatwymi i przyjemnymi mogą być sprawy ważne i doskonałe!). Słyszymy, że organizuje się wiele konkursów literackich, literackich spotkań wernisażowych, spotkań z książką, twórcami, artystami. Niezależnie czym się zajmują bohaterowie tych spotkań, to wnoszą w nasze kulturalne życie wiele piękna, nowej emocji literackiej, ba nawet nadają naszemu życiu nowych kolorów i jasności.

Od czasu, gdy przeczytałem pierwsze, krótkie wiersze Sebastiana Tymeckiego pomyślałem, że można po jego twórczości wiele oczekiwać. Nie zawiodłem się. Pisz wiele, krytycznie odnosi się do swoich pomysłów, zbiera wszystko co dobre. Nie nadużywa słów, a każdy z jego utworów jest odkryciem nowych obserwacji. Kim jest Sebastian Tymecki?

Urodził się 23 grudnia 1983 roku w Wąlczu. Mieszka w Człopach, w województwie zachodniopomorskim. Obecnie studiuje turystykę i rekreację na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Oddział Zamiejscowy w Śremie. Oprócz studiowania aktywnie uczestniczy w życiu społecznym naszego miasta, między innymi w działalności Przychodni Leczenia Uzależnień i Współuzależnień w Śremie. Jest wolontariuszem wspierającym młodych mieszkańców Śremu w ich problemach, szczególnie dotyczących uzależnień.

Wiersze Sebastiana są nastrojowe, niosą pogłębiającą refleksję filozoficzną. Autor zastanawia się nad sensem życia, a przede wszystkim zjawisk: cierpienia, lęku, niedosytu, poczucia osamotnienia i niespełnienia; czyli nad sensem tego, co nas najbardziej uwiera i boli.

Tymecki nie daje żadnej odpowiedzi, bo jest ona niemożliwa. Jako początkujący poeta nie sytuuje się na pozycjach wszystko wiedzącego wybrańca, tylko takiego samego człowieka jak każdy, człowieka poszukującego, ale przecież mającego nadzieję. Wyrażam nadzieję na rychły debiut poetycki Sebastiana Tymeckiego, bo to twórca gwałtowny, niosący nadzieję i wiarę.

Adam LEWANDOWSKI

Foto: archiwum



Patrzysz i myślisz że wiesz
masz zalany rozum
niby to stoisz w mniemaniu
swoim chwianiem burzysz stateczność
budujesz jedno
niepewność niesmak.

Zaskoczenie
jedne ale nie jedyne
z wielu spraw
wiesz dużo o mnie
ja o tobie
studiuję wnetrze
ciągle zaskakujesz
jak sprytny tygrys
jeden sus
i po mnie.

Głębia twoja
głębsza niż rozpadliny
świata
pojemna jak czas
ale pewniejsza.
Nie boję się ciebie
za parę naście lat
bo zawsze ciebie
zaskoczę.

Z życia cegielszczaka

W związku z jubileuszem 35-lecia Odlewni Żeliwa - największego zakładu ziemi śremskiej, wszystkim Odlewnikom składamy najserdeczniejsze życzenia - "zawsze dobrych odlewów". Z tej okazji, przygotowaliśmy rozmowę z panem Gabrielem Jasińskim, długoletnim pracownikiem zakładu, którego praca zawodowa i społeczna, stała się świadectwem historii tegoż zakładu. Z panem Gabrielem - o pracy zawodowej i zainteresowaniach rozmawiał Adam Kaszuba.

Panie Gabrieliu - dlaczego Cegielszczak?

Blisko 70% swojego życia poświęciłem temu zakładowi. I choć obecnie jestem na emeryturze, w dalszym ciągu wielu znajomych, kolegów a właściwie w całym środowisku, nazywają mnie w pierwszym rzędzie "cegielszczakiem", a potem dopiero imieniem, względnie nazwiskiem.

A dlaczego właśnie w ten sposób przyjaciele się do Pana zwracają?

Ponieważ zawsze podkreślałem, dalej podkreślam, że praca w firmie Cegielskiego, znanej i sławnej nie tylko w kraju, ale i zagranicą, z dobrej roboty, wysokiej jakości wyrobów i terminowej realizacji zamówień, była i jest zaszczytem. I to jest prawda, że ta rzetelność i szacunek do znaku HCP, istnieje tak długo, jak firma, to jest 145 lat od czasu, kiedy założyciel naszych zakładów Hipolit Cegielski dewizy te wprowadzał w życie praktycznie.

Spotkaliście się dziś, aby móc poznać Pana zainteresowania. Czy Gabriel Jasiński zajmował się w czasie swojej pracy zawodowej, i dziś na zasłużonym odpoczynku?

Moje zainteresowania są bardzo rozległe. W pierwszej kolejności to: nauka, praca zawodowa i społeczna, życie rodzinne, muzyka, kultura i śpiew oraz pamiętnikarstwo, kronikarstwo i dziennikarstwo. Oprócz tego, jako formę spędzania wolnego czasu traktowałem wędkarstwo czy grzybobranie.

Czy mógłby Pan w kilku słowach opowiedzieć czytelnikom Gazety Śremskiej o swoim życiu?

Urodziłem się 28 czerwca 1923 r. w Zagórowie powiatu konińskiego. Mając siedem lat rozpocząłem naukę w szkole powszechnej - siedmioletniej, którą ukończyłem w 1937 r. W lipcu tegoż roku zdałem pozytywnie egzamin

do Gimnazjum Mechanicznego im. Stanisława Staszica w Kaliszu. Moją edukację przerwał wybuch wojny. Jako młody chłopak trafiłem na przymusowe roboty. Był to najgorszy i jednocześnie najcięższy okres w moim życiu - ale nie chcę teraz więcej o tym mówić. Z robót wróciłem wraz z grupą towarzyszy niedoli w czerwcu 1945 r. W tym też roku ożeniłem się. Rok później opuściłem Zagórow i udałem się do Poznania, gdzie rozpocząłem swoją pierwszą pracę zawodową w zakładach HCP jako tokarz. Kontynuowałem naukę i dzięki temu awansowałem kilkakrotnie. Najpierw z tokarza na kontrolera technicznego w dziale specjalnym, a potem zostałem kierownikiem izby pomiarów. Później zostałem przeniesiony do Świdnicy Śląskiej, gdzie byłem kierownikiem kontroli technicznej w Fabryce Wagonów. W tym zakładzie spędziłem 12 lat. W lutym 1967 r. wróciłem do Wielkopolski, dokładnie do Śremu, gdzie zostałem kierownikiem działu narzędziowego. Tworzyłem go od podstaw, w nowo budowanej Odlewni Żeliwa Szarego, filii HCP. W 1982 r. odszedłem na emeryturę, poświęcając się całkowicie swoim zainteresowaniom.

Jak rozwijały się Pana zainteresowania muzyczne w okresie poprzedzającym wybuch II wojny światowej?

Jak już wspominałem, wychowałem się w rodzinie o dużych tradycjach kulturowych. Ojciec był organistą, dyplomowanym muzykiem, dyrygentem i kompozytorem, znanym wówczas niemalże w całej Wielkopolsce. Jego praca podziwiana była m.in. w Koninie, Słupcy, Poznaniu i innych miastach. Stąd, od najmłodszych lat miałem do czynienia z muzyką. Uczestniczyłem jako obserwator w inicjatywach kulturalnych ojca, i z biegiem czasu - będąc uczniem klasy 5 szkoły powszechnej rozpocząłem naukę gry na dwóch instrumentach - pianinie i skrzypcach. Moim nauczycielem był oczywiście ojciec. Uczył mnie 3 lata, zaczynając od szkoły Ludomira Różyckiego, przechodząc do innych. Tym samym udało mi się poznać cały repertuar, etudy, wariacje i inne. Niestety okazało się, że gra na pianinie wychodzi mi wyśmienicie, natomiast skrzypce nie były tym instrumentem, który przypadł mi do gustu.

Pianino, skrzypce i ...?

Tak obok tych dwóch instrumentów, jeszcze jak byłem w szkole powszechnej zainteresowałem się akorde-

onem. Spowodowane to było faktem, iż mój brat Eugeniusz takowy posiadał i na nim grał. Akordeon był instrumentem bardzo droгим, powiem tylko, że za dwa akordeony można było kupić już pianino. Dlatego też mój brat nie pozwalał mi grać na tym instrumencie. Dopiero, gdy zaczął chodzić na randki, za przyzwoleniem ojca i pod jego okiem mogłem spokojnie dwa razy w tygodniu uczyć się gry na tym instrumencie, ale nie dłużej jak półtorej godziny. Niestety moje tajne lekcje przerwane zostały nagłym powrotem brata z nieudanej randki i niestety nie obyło się bez małych rękoczynów. Brat był strasznie przywiązany do instrumentu, ale jego obawy - że go zniszczę - były bezpodstawne. Jedno jest pewne, że nauka gry na akordeonie nie poszła w las i umiejętność ta nie raz się przydała.



Foto: archiwum

Czy obok gry na instrumentach działał Pan w innych organizacjach kulturalnych?

W tym też czasie rozpocząłem naukę śpiewu. Mając dobry chłopięcy głos, śpiewałem w chórze mieszanym im. Stanisława Moniuszki, jako solista i w duecie. Śpiewaliśmy podczas uroczystych mszy świętych oraz innych uroczystości okolicznościowych. Mieszkańcy z chęcią przychodzili nas posłuchać, zwłaszcza, że nie było telewizji, a radio nie było jeszcze tak powszechne. Chór prowadził mój ojciec.

Po ukończeniu szkoły powszechnej zamieszkał Pan w Kaliszu. Jak tam kontynuował Pan swoje zainteresowania?

Po dostaniu się do Gimnazjum w Kaliszu, zamieszkałem u brata mojego Ojca - stryja Maksymiliana - księgarza, dyrygenta i muzyka. Ten wiedząc o moich zainteresowaniach ćwiczył ze mną wytrwale, nie tylko fragmenty klasyczne - filharmonijne, ale także rozrywkowe. Oprócz tego, w szkole wykorzystano moje umiejętności gry na pianinie. Zostałem zwerbowany do działającej w

gimnazjum orkiestry symfonicznej, zastępując na tym instrumentem bardzo słabego muzyka. Repertuar był bardzo szeroki od operetek do muzyki rozrywkowej. W tej ostatniej kwestii szczególnie pomocny był wuj, ponieważ jego syn, a mój kuzyn pracował w Warszawie i regularnie przysyłał do domu nowości muzyki rozrywkowej, polskiej i zagranicznej.

A jak wyglądały wakacje?

No cóż, gdy przyjechałem na pierwsze wakacje z Kalisza, byłem już po pierwszym ciężkim roku nauki w gimnazjum, z bardzo udoskonalonym warsztatem muzycznym. Dlatego też, wraz z grupą przyjaciół organizowaliśmy w Zagórowie dwa razy w tygodniu wieczorki taneczne, na których graliśmy standardy muzyki rozrywkowej. Te wakacyjne spotkania cieszyły się sporym

zainteresowaniem mieszkańców miasteczka i najbliższej okolicy.

Pana muzyczne fascynacje zostały przerwane we wrześniu 1939 r.!

Tak. Niemiecka napaść na Polskę była tragedią dla narodu polskiego. Okupanci pojawili się w Zagórowie w październiku 1939 r. Rozpoczęły się prześladowania ludności polskiej. Nie ominęły one także mojej rodziny. Pewnego dnia, w naszym mieszkaniu pojawił się niemiecki policjant wraz z kilkoma żołnierzami i zarekwirowali mojemu bratu akordeon - ponieważ jak twierdzili - Polakom są instrumenty już niepotrzebne. Pianina nie zabrali. Kilka miesięcy później zostałem wywieziony na roboty przymusowe.

Wraca Pan do Zagórowa w 1945r., w czerwcu. Jak w tym czasie wygląda życie kulturalne miast i miasteczek wielkopolskich?

No cóż, ani śpiew, ani gra nie były pierwszoplanowym zadaniem dla mieszkańców Zagórowa, ani innych miejscowości. Przystępowano do odbudowy kraju zniszczonego wojną. Ale już w pierwszych miesiącach powo-

jennych rozpoczęto prace zmierzające do odbudowy życia kulturalnego. Poszukiwano instrumentów - rozkradzionych przez okupanta oraz czekano na powrót muzyków, chórzystów i innych ludzi kultury. Ojciec i ja po krótkim odpoczynku, przystąpiliśmy do odtwarzania chóru mieszanego, orkiestry dętej i innych organizacji kulturalnych działających w moim miasteczku przed wojną. Była to ciężka praca, ale niosąca sporo satysfakcji.

Rok 1946 jest początkiem nowego etapu w Pana życiu!

Dokładnie. Rok wcześniej ożeniłem się i musiałem pomyśleć o zapewnieniu rodzinie bytu. Dlatego też, udałem się do Poznania, gdzie rozpocząłem pracę jako tokarz. I już niemalże do końca swojej pracy zawodowej związany byłem z Poznaniem, a potem i Śremem - z zakładem HCP.

Czy z chwilą podjęcia pracy zawodowej był czas na hobby?

Powiem szczerze, że pracując na zmiany, ciężko było pogodzić pracę zawodową - życie rodzinne - hobby, ale jakoś się udało. Za sprawą kolegi z Zagórowa Tadeusza Rydeckiego, zostałem dosłownie wciągnięty do orkiestry dętej, której kapelmistrzem był doskonały skrzypek Hipolit Jankowski. Grałem na waltorni. Był to kolejny instrument, na którym przyszło mi pracować. Jako że nauka gry nie sprawiła mi trudności, wkrótce zostałem drugim waltornistą w orkiestrze. Orkiestrą graliśmy często na różnych imprezach, zarówno akademiach jak i popularnych majówkach. Oprócz tego grałem na akordeonie i pianinie w zespole rozrywkowym.

Wraz z awansem zawodowym dokonał się także awans w sferze kultury?

Można to tak ująć. Będąc już kierownikiem działu pomiaru, zostałem pianistą akompaniującym baletu HCP, pianistą akompaniującym solistom amatorom oraz prowadziłem chór. Była to praca popołudniowa - płatna. Mogłem działać w tych organizacjach kulturalnych tylko dlatego, że jako kierownik pracowałem tylko na jedną zmianę.

Potem przybył pan do Świdnicy Śląskiej, a tam...?

A tam właśnie nikt w zasadzie nie wiedział o moich zainteresowaniach muzycznych. Działała tam bardzo dobra orkiestra, ale ze względu na pracę zawodową oraz życie rodzinne, w tym czasie grałem tylko w zespole rozrywkowym na różnego rodzaju imprezach towarzyskich, zabawach, dancinгах itp. O moich zdolnościach muzycznych niewielu wówczas wiedziało. Byłem natomiast

działaczem społecznym i wice prezesem Klubu Sportowego POLONIA.

Po Świdnicy, przybywa pan do Śremu!

W lutym 1967 r. rozpoczynam pracę w budowanej Odlewni Żeliwa. W pierwszym okresie oczywiście nie było mowy o jakiegokolwiek pracy społecznej związanej z tworzeniem zrzebów pod działalność kulturalną. Natomiast już dwa lat później, gdy ruszały kolejne wydziały zakładu, można było już podjąć pierwsze kroki. W tym celu udałem się do dyrektora Henryka Kłodaś, z propozycją utworzenia orkiestry dętej dla zakładu. Propozycja spotkała się z ciepłym przyjęciem ze strony dyrekcji zakładu. Przygotowałem listę potrzebnych zakupów i udałem się na konsultacje do Wojciecha Niemczyka, kapelmistrza orkiestry HCP w Poznaniu. Spotkałem się z dużym wsparciem z jego strony. Udało się stworzyć listę instrumentów, potrzebnych akcesoriów dla orkiestry liczącej 40 muzyków. Opracowałem regulamin, harmonogram prób i w czerwcu 1969 uzyskałem akceptację dyrekcji zakładu.

Jakie były początki śremskiej orkiestry dętej?

Pierwsze zebranie organizacyjne odbyło się 23 stycznia 1970r., na które przybyło 36 chętnych pracowników zakładu. Udało nam się wybrać pierwszy zarząd oraz dyrygenta orkiestry. Rozpoczął się czas organizacji orkiestry. Niestety ja ze względu na ilość obowiązków nie mogłem czynnie uczestniczyć w pracach zespołu, ale towarzyszyłem mu przez cały okres pracy zawodowej, a także na zasłużonej emeryturze.

Jak wyglądały pierwsze lata działalności orkiestry dętej przy Odlewni Żeliwa?

Pierwszy koncert z prawdziwego zdarzenia odbył się przy sporej widowni 9 listopada 1970r. Z tego powodu czułem ogromną satysfakcję. W tym czasie orkiestra grała często na różnych imprezach okolicznościowych oraz uczestniczyła w przeglądach i konkursach, zajmując wysokie miejsca i zdobywając liczne nagrody i wyróżnienia. Z tą orkiestrą, jako jej sympatyk przeżywałem jubileusz 20-lecia i 30-lecia. Za pracę społeczną otrzymałem wówczas Srebrną Odznakę Wielkopolskich Chórów i Orkiestr. Dziś z perspektywy czasu jest przykre, że tak doskonała orkiestra ma problemy z istnieniem i zdobyciem środków na swoją działalność. Nowy właściciel Odlewni - CENTROZAP nie widzi potrzeby dotowania orkiestry. Smutne też jest, że inna orkiestra związana z HCP w Poznaniu została rozwiązana po ponad 60 latach działania.

Oprócz gry na instrumentach realizował się Pan także w innych sferach życia kulturalnego?

W latach 1970-1982, działałem społecznie pełniąc funkcje kierownicze w różnych organizacjach społeczno - politycznych. Tym samym organizowałem spotkania z szeroko pojmowaną kulturą. Organizowaliśmy wyjazdy do kina, teatru oraz przygotowywałem spotkania z artystami estradowymi. Stałem się ściągając do Śremu dobre zespoły muzyczne i artystyczne, m.in. pod dyktando Stefana Rachonia, Henryka Debicha, artystów operowych i innych. Miejsce organizacji wszystkich imprez była oczywiście sala widowiskowa Odlewni Żeliwa licząca 500 miejsc siedzących.

W 1982 r. przechodzi Pan na emeryturę. Jak wygląda ten okres działalności?

Przyznam się szczerze, że właśnie w tym czasie, trwającym do dnia dzisiejszego mogłem się już spokojnie poświęcić realizacji swoich zainteresowań. Zająłem się komponowaniem, grą na instrumentach i wieloma innymi. W tym czasie, ponad dwadzieścia lat, mogłem spełniać swoje hobby. Wykonywałem swoje utwory m.in. Śremską piosenkę, Marsz śremskich odlewników i inne. Wykonywałem także piosenki satyryczne i humorystyczne. W tym czasie przygotowałem kilkanaście recitali, które odbyły się m.in. w Poznaniu, Śremie, Błociszewie, Ostrowiecu i kilku innych miejscowościach. Przeznaczone były dla dzieci, młodzieży, pracowników różnych przedsiębiorstw, emerytów, kół przyzakładowych i wielu innych. Zawsze cieszyły się one dużym zainteresowaniem.

Jesteś teraz u Pana w domu. Widać tutaj dużo sprzętu muzycznego?

Tak. Jako muzyk mam małe studio nagrań, dzięki któremu mogłem przygotować prawie 100 kaset z nagraniami muzycznymi, zarówno instrumentalnymi jak i wokalnymi. Repertuar obejmował muzykę ludową, wojskową, rozrywkową - z okresu międzywojennego i czasów późniejszych. Moje kasety znajdują się w

zbiorach rodzinnych w Poznaniu i Słupcy oraz w instytucjach państwowych i branżowych.

Kto w tym czasie odegrał ważną rolę w Pana życiu? Oczywiście poza rodziną.

Tak szczególnie mocne stały się spotkania z księdzem Tadeuszem Nagel. Wspaniale uzdolniony muzycznie. Wielokrotnie śpiewał nam podczas spotkań z emerytami. Ja wspierałem go muzycznie. Efektem tej współpracy było nagranie kilku kaset, które później wykorzystywane były podczas misji na całym świecie. Ks. Nagel stał się przyjacielem domu, towarzysząc mojej rodzinie w wielu chwilach.



Foto: archiwum

Czy znasz taki Śrem

Uzupełnienie i komentarze

Paniom Krystynie Siebert, Ewie Wańskiej i Barbarze Ziolkowskiej należy się uznanie za zbieranie śremskich ciekawostek. Wielu młodych ludzi ich już nie zna, część w związku z budową odlewni przybyła z innych okolic, a przecież to, co zebrały Panie to też historia, chociaż z naszego małego podwórka. Mieszkam w Śremie ponad 80 lat, pamiętam wiele i dlatego chciałbym niektóre hasła objaśnić czy też uzupełnić.

Biały domek - do 1939 r. mieszkał tam Kasprzyk z rodziną. Pilnował pól i łąk po prawym brzegu Warty, należących do majątku Góra. Po wojnie domek nie był zamieszkany. Byłem tam około 1960 roku i oprócz glinianego rumowiska znalazłem ślad zasypanej studni. Teren obok domku zarosnięty był chwastami z przewagą jakiejś siwej krzewinki o gorzkim zapachu. Chyba był to piołun. Na łące obok gruzowiska widziałem po raz pierwszy i chyba ostatni w życiu stadko liczące 50 do 60 sztuk czapli siwej na zbiórce przed odlotem na zimowisko.

Dzikuska - nazywała się Zabłońska i była również dobrą pływaczką. Razem z mężyczynami wchodziła na wysoki łuk dawnego mostu żelaznego i skakała na głowę do Warty.

Gasplac. Grywana tam śremska "helska" w różnych wariantach znana jest szeroko jako klipa.

Gaspapier. Do roku 1939 sklep ten zajmował ojciec dra Służewskiego, prowadząc sklep skór i przyborów obuwniczych.

Hajmat. Poprawnie po niemiecku Heimat.

Kindki. Słowo to pochodzi z niemieckiego Kindergarten (ogródek dziecięcy), wydzielonego w parku miejsca zabaw dla dzieci. Nie ma nic wspólnego z gindowaniem. W Polsce pionierem zakładania ogródków dziecięcych był prof. Henryk Jordan z Krakowa, skąd powstała nazwa "ogródków jordanowskie".

Wracając do wspomnianego gindowania, to niestety kojarzy mi się z pierwszym w życiu pogrzebem, na którym

byłem. W II klasie kilku kolegów poszło na ginde, na pierwszy most. Pod kolegą Zbiniem Szulcem załamał się łód. Kąpiel w lodowatej wodzie wywołała zapalenie płuc i śmierć.

Glinki. Pierwsze taką nazwę miało kilka dwurodzinnych domów z ogrodami po prawej stronie ul. Glinki oraz bodaj trzy podobne od ul. Glinki po prawej stronie ul. Gościńskiej. Pamiętam nazwiska niektórych mieszkańców tych domów: Maliński, Dębski, Frackowiak, Królski, Nagen-gast, Dworczyński, Cwojdzński.

Janusza Jezioro. Nazywa mało używana, staw pamiętam, nazwy nigdy nie słyszałem.

Kasyno. Dom był zbudowany w stylu jak wille koło koszar. Po pożarze odbudowano bez stylu tak jak budynek sztabowy.

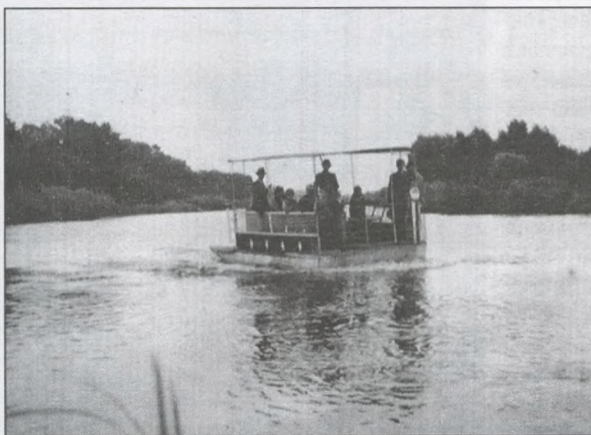
Konwikt. Przypomina mi bibliotekę Towarzystwa Czytelni Ludowych, mieszczącą się kiedyś na parterze w sali po lewej stronie. W czasach szkolnych często z niej

korzystałem.

Kuba. Również niektóre organizacje urządzały festyny u Kuby w letnie niedziele.

Lopek. W 1946 roku zaniósłem p. Sałacińskiemu, który już odtwarzał swoje muzeum, znaleziony w siedzibie niemieckiej żandarmerii zabytkowy sztylet kaukaski, pochodzący zresztą z jego muzeum oraz moją zdobycz - szpadę niemieckiego oficera żandarmerii. Pan Sałaciński pokazał mi, co już zdążył ze swoich zbiorów odzyskać. Zaprowadził księgę ofiarodawców, którzy sami przynieśli odnalezione eksponaty. Wpisał tam też przyniesione przeze mnie przedmioty.

Łazienki. Ratownikiem był p. Ratajczak zwany "Ali". Kręcił się tam często starszy człowiek, niespełna rozumu, który zabawiał plażowiczów historyjkami w rodzaju: "Wsta-ję rano, patrzę, a tu na moście Hitler na rowerze".



Magdalenka. W lokalu tym w sobotnie wieczory odbywały się wieczorki taneczne. Śpiewała panna Baraniak, dziś Skrzycka. Popisowym numerem była piosenka "Magdalenka", od której powstała nazwa lokalu.

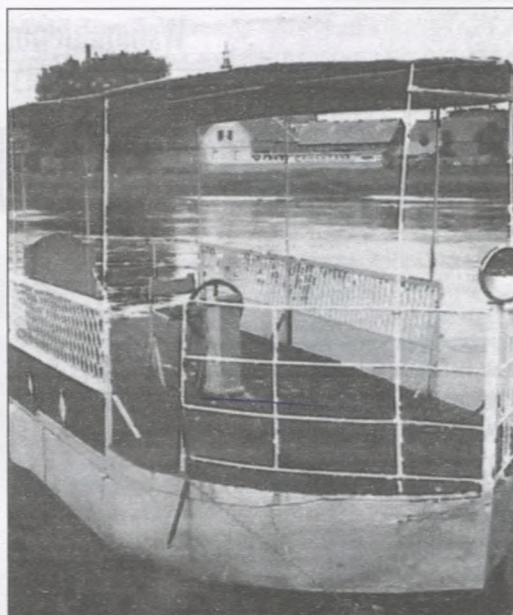
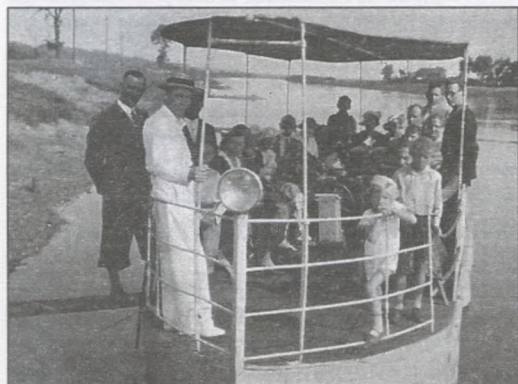
W zespole muzycznym grał czasem organista od fary p. Stanisław Nowicki. Nie podobało się to proboszczowi ks. prałatowi Karwatce, że organista gra w knajpie. Nowicki odpowiedział: "Niech mi ks. prałat da tyle zarobić w kościele, żebym mógł utrzymać rodzinę, to chętnie z grania w knajpie zrezygnuję."

Malinka. Z nostalgią patrzę czasem na resztki zabudowań zakładu pracy, w którym przepracowałem 24 lata. Dziwię się, że utrzymuje się tak zaniedbaną "zabytkową ruinę", gdy w mieście jest naprawdę dużo popadających w ruinę domów, w których z braku innych mieszkań lub pieniędzy na nowe budownictwo - zmuszeni są mieszkać ludzie.

Magistrackie chaty. Nie bardzo mogę się zgodzić z twierdzeniem, że mieszkali tam również ludzie, którym nie zawsze chciało się pracować. W latach 30. ub.w. (z wyjątkiem kilku ostatnich lat, gdy rozpoczęto obwałowanie Warty i inne roboty publiczne) było w Śremie ogromne bezrobocie. Pamiętam kilka burzliwych demonstracji bezrobotnych na rynku. Do każdej pracy było wielu chętnych.

Murzynek. W czasie okupacji, gdy w niedzielę udało się czasem wykręcić od przymusowych robót, chodziliśmy tam się kąpać. Bliżej miasta w obydwu kierunkach od mostu brzegi były tylko "nur für Deutsche".

Niemiecki cmentarz. Mieszkalem kilka lat w Spółdzielni Mieszkaniowej przy tym cmentarzu. Dzieci nasze i z bloków wojskowych, przez rozerwany płot wchodziły na cmentarz i bawiąc się dewastowały go. Zadzwoń ilem w tej sprawie do przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, którym był wówczas p. Józef Matuszak. Przysłani przez niego robotnicy miejscy wycieli krzaki i zarośla, co trochę ograniczyło bieganie dzieci po cmentarzu i niszczenie tego, co jeszcze z nagrobków pozostało.



Pekin. Okrągła budowla to kolejowa wieża ciśnieniowa, zaopatrująca w wodę parowozy, dziś już prawie wycofane z ruchu.

Pod papą. Budynek ten, który jeszcze pamiętam, ostatnio już nie zamieszkały był kiedyś wielką karczmą.

Pod złotą kulą. Kamienica ta była własnością rodziny Barełkowskich.

Spalony młyn. Pozostały po pożarze budynek o zaokrąglonych narożnikach mieścił biuro młyna. Pracowałem tam od kwietnia 1941 r. do kwietnia 1942 r., również w czasie pożaru.

Cmentarz żydowski. Nie został zlikwidowany po II wojnie światowej. Zimą z 1939 na 1940 rok Niemcy żołnierze zniszczyli ten cmentarz. Najpierw wyrabiali stare drzewa porastające wzgórze, potem niszczyli (rozbijali) nagrobki, w końcu wyrównali teren. Co zrobili z płytami nagrobnymi (macewy) i ze szczątkami ludzkimi nie wiem. Szczątków było bardzo mało, gdyż po I wojnie światowej było w Śremie tylko kilka rodzin żydowskich, a groby były w większości bardzo stare, chyba nawet z XVIII, w większości XIX wieku.

W moich uwagach starałem się uzupełnić czy też rozszerzyć informacje zebrane przez autorki, żeby je uchronić od zapomnienia.

Przyznaję - ze skruchą, że w niektórych punktach poruszyłem wątek osobisty, tam gdzie byłem z miejscem lub sprawą związany.

Franciszek GRAJEWSKI
Foto: archiwum

Wspomnienia z lat dziecięcych w Śremie (fragmenty)

Okres międzywojenny cz. III

Na terenie Gimnazjum Śremskiego działały z wielkim powodzeniem różne stowarzyszenia i organizacje uczniowskie jak: Towarzystwo Tomasza Zana, Sodalicia Mariańska, Koło Polskiego Czerwonego Krzyża, drużyna harcerska im. Przemysława, Koło Muzyczne i chlubna orkiestra gimnazjalna i harcerska oraz Klub Sportowy.

Wielkim wydarzeniem i wyróżnieniem dla Gimnazjum Śremskiego było w sierpniu 1933 roku wysłanie gimnazjalnej orkiestry harcerskiej pod dyktando znakomitego dyrygenta i kapelmistrza pana Stanisława Ciesielskiego na IV Jamboree na Węgrzech do Gödöllő jako reprezentacyjnej orkiestry całego harcerstwa polskiego, gdzie zdobyła 1. miejsce w reprezentacyjnych występach wszystkich przybyłych z całego świata do Gödöllő harcerskich orkiestr dętych.

Znana w całej Polsce orkiestra dęta harcerzy Gimnazjum Śremskiego po raz drugi zostaje wyróżniona i reprezentuje całe harcerstwo polskie na Jamboree w dniach od 20 lipca do 14 sierpnia 1937 roku w Holandii w Vogelenzang, gdzie uczestniczyła w paradnych występach w obecności królowej Wilhelminy, w tych samych uczestniczył również mój brat Arkadiusz grając na czynelach. Sierpień 1937 roku był wielkim wydarzeniem dla Śremian, kiedy to orkiestra harcerska Gimnazjum Śremskiego wracała z Holandii do Śremu. Z Holandii do Poznania harcerze śremscy przyjechali pociągiem, a z Poznania do Śremu dwoma autobusami, gdzie przed pierwszym mostem na szosie do Poznania koło parku miejskiego około godziny 21.00 zostali serdecznie i entuzjastycznie powitani przez rodziny i mieszkańców Śremu. W pierwszą niedzielę po powrocie z Holandii harcerska orkiestra gimnazjum śremskiego, pod batutą kapelmistrza pana Stanisława Ciesielskiego, w galowych mundurach harcerskich z rogatywkami przybranymi biało-czerwonymi pióropusami na głowie i w przetrzuconych przez lewe ramię pelerynach, grając marsza Apollo przemaszewowała paradnie ulicami Śremu i marszem defiladowym w paradnym szyku wkroczyła na Rynek przed ratusz i pomnik Powstańców Wielkopolskich tworząc wielkie koło, a w środku kapelmistrz. I tu zademonstrowała piękny koncert, taki sam jaki prezentowała w Holandii na Jamboree na paradnym występie w obecności królowej Wilhelminy. W tym miejscu przypomnę, że

orkiestra dęta harcerzy gimnazjalnych ze Śremu brała udział w wielu państwowych i międzynarodowych zlotach harcerskich w tym w:

1. Zlocie Związku Harcerstwa Polskiego w Poznaniu w maju 1932 roku.
 2. Zlocie Skautów Wodnych w Garczynie w lipcu-sierpniu 1932 roku.
 3. IV Jamboree w Gödöllő na Węgrzech w sierpniu 1933 roku.
 4. Zlocie ZHP w Spale w lipcu-sierpniu 1935 roku, który otwierał Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki.
 5. Zlocie Harcerskich Orkiestr w Spale zgrupowanych przed wjazdem na Jamboree do Holandii w lipcu 1937 roku.
 6. V Jamboree w Vogelezang w Holandii w dniach od 20 lipca do 14 sierpnia 1937 roku.
- Wielką zasługą Gimnazjum Śremskiego było wychowywanie młodzieży w tężyznie psychiczno-fizycznej poprzez uprawianie szeroko pojętego sportu, prowadzonego pod kierunkiem wybitnego i lubianego wychowawcy gimnazjalnego profesora wychowania fizycznego Józefa Tarnawskiego. Kierowany przez profesora J. Tarnawskiego Gimnazjalny Klub Sportowy posiadał 8 sekcji sportowych w tym:

- najliczniejszą lekkoatletyczną,
- piłki ręcznej i siatkówki,
- tenisa ziemnego i stołowego,
- pływacko-wioślarską z własną przystanią i hangarem na łódzie, skiffy i kajaki nad Wartą koło młyna pana Szczepskiego,
- hokeja na lodzie,
- strzelecką męską i żeńską.

Lekkoatleci do treningów i ćwiczeń sportowych korzystali z boiska wojskowego przy starych koszarach wojskowych oraz z boiska Śremskiego Klubu Sportowego "Błyskawica" przy nowej Strzelnicy Bractwa Kurkowego w Śremie.

W każdej uprawianej dyscyplinie sportowej gimnazjaliści sportowcy uzyskiwali dobre wyniki. Na dowód czego w roku szkolnym 1934-35 Gimnazjalny Klub Sportowy zdobył II miejsce w ogólnej sprawności fizycznej Szkół Poznań-

skiego Okręgu Szkolnego, a w roku szkolnym 1936-37 GKS ze Śremu zdobył nagrodę przechodnią "Błękitnej Wstęgi" Kuratorium Okręgu Poznańskiego.

Do zasłużonych i czołowych najbardziej wybijających się sportowców Gimnazjalnego Klubu Sportowego przed II wojną światową zaliczali się:

1. Wojciech Budzyński - w 1928 roku zdobył 1 miejsce na międzyszkolnych zawodach sportowych w pięcioboju i rzucie oszczepem.

2. Józef Musiał - w 1929 roku zdobył 1 miejsce w międzyszkolnym trójboju lekkoatletycznym Śrem - Jarocin - Kościan, a w 1930 roku w biegu na 100 m uzyskał czas 11,6 s.

3. Józef Musiał, Wiktor Janowski, Arnold Ronke i Jan Sławiński - w 1930 roku w sztafecie 4x100 zdobyli 1 miejsce i "Puchar Wędrowny" w mistrzostwach powiatowych.

4. Jerzy Gutler - w 1932 roku w biegu na 100 m uzyskał czas 11,8 s a w skoku w dal uzyskał wynik 5,75 m. W roku 1933 w biegu na 400 m uzyskał czas 55,5 s.

5. Oktawian Misiurewicz - wspaniały lekkoatleta, piłkarz, później znany na całą Polskę bokser, który w 1935 roku zdobył tytuł Mistrza Polski w wadze półśredniej.

6. Edmund Kamiński - wysoki, przystojny, dobrze zbudowany i wszechstronnie wysportowany gimnazjalista, w 1936 roku na 100 m uzyskał czas 11,9 s, w biegu na 800 m uzyskał czas 2,04 min, w skoku w dal uzyskał wynik 6,06 m, w rzucie dyskiem uzyskał wynik 35,6 m, a w rzucie granatem 66,0 m. W 1935 roku w skoku wzwyż uzyskał 1,73 m, a w pchnięciu kulą 10,5 m.

7. Edward Barełkowski - w 1936 roku w biegu na 100 m uzyskał czas 12,0 s, w skoku wzwyż uzyskał 1,72 m.

8. Tadeusz Musielak - w 1936 roku w biegu na 800 m uzyskał czas 2,04 min oraz w biegu ulicznym zdobył "Srebrny Puchar Wędrowny" miasta Śremu.

9. Edmund Naskręt - w 1936 roku w skoku wzwyż uzyskał 1,68 m.

10. Leon Tomaszewski - w 1936 roku w biegu na 100 m uzyskał czas 11,6 s, a w biegu na 400 m uzyskał czas 55,6 s, natomiast w skoku w dal uzyskał 6,45 m.

11. Tadeusz Jabłoński - w 1938 roku w biegu na 100 m uzyskał czas 12,0 s, a w 1939 roku w skoku wzwyż uzyskał 1,72 m, a w skoku w dal 6,17 m, natomiast w trójskoku uzyskał 11,82 m, a w skoku o tyczce uzyskał 2,73 m.

12. Edmund Maślona - w 1938 roku w biegu na 100 m uzyskał czas 12,3 s.

13. Edmund Maślona, Tadeusz Jabłoński, Henryk Kubiak, Józef Ławniczak - w 1938 roku w sztafecie 4x100 m uzyskali czas 49,1 s.

14. Witold Miękus - w 1939 roku w biegu na 100 m uzyskał

doskonały czas 10,9 s, a w skoku w dal uzyskał 5,95 m.

15. Witold Miękus, Edmund Maślona, Lechosław Ortman i Josse - w 1939 roku w sztafecie 4x100 m uzyskali czas 48,8 s.

16. Lechosław Ortman - w 1939 roku w biegu na 800 m uzyskał czas 2,06 min.

17. Stefan Szubert - doskonały sportowiec był jednym z najlepszych pływaków gimnazjalnych i miasta Śremu na krótkich dystansach.

Do doskonałych lekkoatletów zaliczali się jeszcze wymienieni sportowcy gimnazjalni jak: Alfons Zapłata (zginął w Katyniu), Bolesław Krzyżostaniak, Jan Nawrocki, Ludwik Dzikowski, Antoni Kończak, Marian Magnuszewski, Jerzy Michalski, Tadeusz Nowak, Marian Maciejewski, Nawrot, Piasecki, Tadeusz Wolniewicz, Stefan Łuspiński, Henryk Guzek i wielu, wielu innych.

Do czołowych wioślarzy gimnazjum śremskiego zaliczali się:

- Arnold Ronke, który później występował w poznańskim AZS zdobywając mistrzostwo Polski i akademickie wicemistrzostwo Europy w ósemkach ze sternikiem.

- Marian Ilsi w czwórkach ze sternikiem przepląnął 1102-kilometrową trasę (zginął w Katyniu) oraz Frie-





del, Łożyński, Janietz, Surdyk, Jankowiak, Bieda, Chudoba i inni.

Do czołowych tenisistów ziemnych zaliczali się: Mieczysław, Kazimierz i Tadeusz Matuszewscy, Adam Śramski, Marian i Zygmunt Magnuszewscy, Gutlerowie i inni odnosząc wiele sukcesów w okręgu poznańskim. Do zasłużonych i czołowych łyżwiarzy oraz gimnazjalnej drużyny hokeja na lodzie zaliczali się wspaniali sportowcy tej miary co: Zdzisław Magnuszewski, Edmund Kamiński, Bolesław Krzyżostaniak, Leon Wiśniewski popularnie zwany "Gemwsz", Jerzy Gutler, Kazimierz Matuszewski, Edmund Tyśper, Marian Łączny i inni.

Pięknie w historii Gimnazjum Śremskiego zapisały się drużyny strzeleckie. W 1929 roku na Okręgowych Zawodach Strzeleckich w Poznaniu męska drużyna w składzie: Marian Krzyżostaniak, Zygmunt Szwede, Hieronim Laurentowski i Stanisław Szulc zdobyli I nagrodę zespołową, a Stanisław Szulc w strzelaniu z broni małokalibrowej zajął pierwsze miejsce. Natomiast drużyna żeńska w składzie: Maryla Ogonowska, Halina Świetlikówna, Zofia Gembalska, Weronika Bajanówna, Maria Lizakowska, Zosia Misiakówna w za-



wodach o mistrzostwo Okręgu Poznańskiego zdobyły również pierwsze miejsce zespołowo i indywidualnie. W 1930 roku na ogólnopolskich zawodach strzeleckich we Lwowie młodzieży gimnazjalnej stanowiących eliminacje do mistrzostw Polski, drużyna żeńska ze Śremu w składzie: Maryla Ogonowska, Halina Świetlikówna i Zofia Gembalska zdobyła pierwsze miejsce zespołowo i pierwsze miejsce indywidualnie Halina Świetlikówna. Na mistrzostwach Polski Halina Świetlik strzelając z pistoletu z pozycji dowolnej zdobyła pierwsze miejsce oraz tytuł Mistrzyni Polski, a w strzelaniu z broni małokalibrowej z postawy leżącej Halina Świetlikówna zdobyła również pierwsze miejsce i wynikiem swym pobiła dotychczasowy rekord świata. Natomiast drugie miejsce z broni małokalibrowej z postawy klęczącej zdobyła Maryla Ogonowska.

Warto w tym miejscu wspomnieć o X Olimpiadzie w Los Angeles, której otwarcie nastąpiło w obecności 110 tysięcy widzów w sobotę dnia 9 sierpnia 1932 roku przy udziale drużyn sportowych z 47 państw świata. 101 strza-

łów armatnich za stadionem olimpijskim ogłaszało otwarcie Olimpiady. W biegu na 10 km nasz reprezentant Polski Janusz Kusociński przybył pierwszy na metę i zdobył pierwszy złoty medal dla Polski. Flaga Polska zawisła na najwyższym maszcie. Na Olimpiadzie w Los Angeles w 1932 roku Polacy zdobyli 3 złote, 2 srebrne i 4 brązowe medale.

Śremem i Gimnazjum Śremskim wstrząsnęła w kwietniu 1939 roku wiadomość o tragicznej śmierci znanego profesora Adama Zahradnika, który strzelił sobie z pistoletu w skroń głowy. Profesor Adam Zahradnik urodził się 11 czerwca 1906 roku w Kosowie woj. stanisławowskie. Przybył do Śremu po studiach historycznych na Uniwersytecie Lwowskim w 1930 roku jako nauczyciel gimnazjalny.

W 1934 roku został mianowany etatowym profesorem Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Gen. Józefa Wybickiego w Śremie. Uczył przede wszystkim historii a także propagandy, filozofii i geografii. Profesor Adam Zahradnik mówił, że profesor musi wiedzieć sto razy więcej od swoich studentów czy uczniów, i jesz-

cze sto razy więcej pracować nad swoją wiedzą.

Adam Zahradnik pochodzenia ukraińskiego, dopatrując się swego pochodzenia ukraińskiego ze strony matki nosił w sobie ukryte w głębi serca i umysłu, niespełnione marzenia narodowościowe, na tle tragicznych wydarzeń międzynarodowych w Europie, które prawdopodobnie w ferworze uniesienia umysłowego były przyczyną popełnienia samobójstwa w dniu 8 kwietnia 1939 roku, przerywając nagle swoje bogate w treści i pracowite życie, historyka zawodowca i profesora Gimnazjum Śremskiego. Na prośbę brata, doktora Andrzeja Zahradnika z Poznania, pracownika Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, zmarłego profesora Adama Zahradnika pochowano na cmentarzu w Poznaniu. W pogrzebie oprócz rodziny brali udział najbliżsi i przyjaciele oraz delegacja gimnazjalna z poczem sztandarowym Gimnazjum i Liceum ze Śremu, na którym na awersie widniał napis: "Bóg - Honor i Ojczyzna".

Marian SCHELLER
Foto: archiwum

Listy do brata

1 września 2003

Drugi Bracie

Bez udziału woli własnej przed oczami stoją obrazy z tamtego 1939 r., choć miałem wtedy 5 lat. Wybiegliśmy na ulicę w Zaniemyślu, dokąd nie tylko rodzice uciekli z nami, aby popatrzeć na

"inne wojsko". Kiwaliśmy rączkami nieświadomi tego, że ci, tak bardzo poważni panowie, zechcą być rzeczywiście naszymi panami i to na długo, na całe 5 lat. Wracaliśmy ciągnąc wózek z tobołkami przez wysadzany przez polskie wojsko most. Sporego ładunku wybuchowego musieliśmy użyć, aby zwa-

lić żelazne przęsła mostu, które dźwigały na sobie granitową kostkę nawierzchni, teraz zapadłej. Po deskach, które położono, a które teraz łączyły oba brzegi Warty, przedostaliśmy się na lewy, wyższy, ale "swoj" brzeg. Było słonecznie i bardzo ciepło. Na krzawkach pomidorów dorodnych było sporo. Potem zabrali śp. Ojca. Okupanci uzyskali to, czego chcieli. Nie tylko na nas padł strach i przerażenie. Los tak chciał, że stojąc w bramce prowadzącej do nas, przy ulicy Jasnej 2, widzieć musiałem powrót, na nasze szczęście, ojca do domu. Przy krawężniku wąskiego tam chodnika zatrzymało się auto. Wściekli w swojej "robocie" gestapowcy wyrzucili i na moich oczach skopali człowieka, którego już kiedyś poniewierali wcielając do Werhmachtu. Wyobrazić sobie można rekrutów Polaków przygotowywanych do służby. Nie jest prawdą, że niewolnictwo przeszli tylko Murzyni. Z tej I wojny światowej nasz ojciec powrócił bez nogi. Może ten fakt właśnie, może biegłe władanie niemieckim, ratowało nam potem wiele razy życie. 1939 r., więc

mijają 64 lata, a to oznacza, że 3 pokolenia tej II wojny nie pamiętają, bo i nie zaznały upokorzeń okupacyjnych. Dziwić się można, że młodzi teraz zachowują się jakby nic im nie zagrażało. Do takiego braku wyobraźni i wrażliwości przygotowują niestety media. Wierzyć się nie chce, że radio i telewizja już nie są nasze, a przynajmniej większe pakiety akcji ma w nich kapitał zagraniczny. Nikt teraz nie

zwraca uwagi na gebołsowską metodę wciskania przez powtarzanie. Nam się wydaje, że reklamy nie są szkodliwe. Amerykanie w zasadzie nie "wypuszczają" filmu, w którym nie będzie o Wietnamie. W ten sposób wpaja się, że ludzi poświęcać nie warto. Lepiej stracić miliony na sprzęt, więc z Iraku szybko też



wycofać się potrzeba, a zadania zlecić m.in. Polakom.

Załączam ksero artykułu wspomnieniowego, który ukazał się w lokalnym "Pierwiosniku", z okazji różnych "leci", m.in. 750-lecia lokacji Śremu.

W mediach więcej o upadkach i upadłościach niż o wzroście i poprawie bytu. Dla urozmaicenia dodają wypadki i katastrofy. Wykupiliśmy prawo do odbioru kanału HBO. Tam same filmy i programy "Na stojaka". Sama satyra, z której: Gdy Renata była młoda, dobrze było popatrzeć na nią, gdy wsiadała na rower. Teraz gdy to robi, rowera nie widać. Więc "do przodu", jak mawia ks. Rydzyski i "Alleluja". Pozdrawiamy gorąco i serdecznie. 600 tysięcy dzieci i młodych poszło do szkoły. Na ulicach i placach zrobiło się pełno, ale jeszcze spokojnie.

*Szczęść Boże! Henryk z Marią
Pocztówka – zbiory własne
Muzeum Śremskiego*

Szanowni Państwo!

Rok 1905 uważany jest za narodziny nauczycielskiego ruchu zawodowego. 1 października w PILASZKOWIE pod Łowiczem odbył się konspiracyjny zjazd nauczycieli ludowych, na którym podjęto uchwałę o nauczaniu w szkołach w języku polskim oraz o utworzeniu Związku Nauczycieli Ludowych.

W 1930 roku powstał Związek Nauczycielstwa Polskiego. W latach 1939-1945 Związek działał w konspiracji jako Tajna Organizacja Nauczycielska, organizując i prowadząc tajne nauczanie na poziomie szkół podstawowych, średnich i wyższych uczelni. W lutym 1945 roku Kierownictwo TON zakończyło działalność konspiracyjną i wznowiło działalność Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Zbliżające się 100-lecie działalności nauczycielskiego ruchu zawodowego zainspirowało Zarząd Sekcji Emerytów i Rencistów do przedłożenia wniosku do Zarządu Oddziału ZNP w Śremie o powołanie KOŁA HISTORYCZNEGO, którego zadaniem byłoby zbieranie i opracowywanie materiałów przypominających początki i rozwój nauczycielskiego ruchu zawodowego oraz zasłużonych działaczy ZNP na terenie Śremu i powiatu śremskiego.

Chcielibyśmy na łamach GAZETY ŚREMSKIEJ prezentować wybrane zagadnienia z dziejów i działalności Związku, przybliżyć sylwetki znanych w środowisku lokalnym nauczycieli - członków ZNP.

Popularyzacja wiedzy o ZNP pozwoli szerszemu społeczeństwu ziemi śremskiej na przypomnienie historii Związku i zbliżenie się do nauczycielskiego ruchu zawodowego.

Zapraszamy do współpracy i przekazywania pamiątek oraz dokumentów dotyczących działalności ZNP.

*Za Zarząd Sekcji
Wanda Sottysiak*

WŁADYSŁAWA HAMPEL 1907-2002

Władysława Hampel urodziła się 20 czerwca 1907 roku w Ilży w powiecie radomskim. Była córką Ignacego i Joanny POSTUŁÓW.

Marzenia z najmłodszych lat o zawodzie nauczycielskim pani Władysława zaczęła realizować w 1930 roku, kiedy ukończyła Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Radomiu.

Najpierw została nauczycielem kontraktowym ucząc przez ponad 4 lata w szkołach: w Ilży, Dubrawie, Rudzie i Ujeździe. Natomiast od 1936 roku pracowała na etacie nauczycielskim w szkole w Świniarach a potem w Łoniewie.

W 1937 roku wyszła za mąż.

Lata okupacji hitlerowskiej przeżyła w Łoniewie i w Ilży, podejmując często z narażeniem swojego życia tajne nauczanie. Oczywiście nauka i uczniowie - jak wspominała pani Władysława - byli nieco inni niż obecnie, gdyż realia wojenne odbiegały od normalnych warunków.

W czasie okupacji inaczej traktowało się ucznia - czasami były to dzieci, które los odegnał daleko od rodzinnego domu, a one głodne i obdarte czekały choć na kawałek

chleba... Uczniowie wojenni byli dlatego inni, że nie mieli szans uczyć się normalnie. Dlatego tak bardzo kochali edukację.

Po odzyskaniu niepodległości, od sierpnia 1945 roku pani Władysława w dalszym ciągu była zatrudniona w Łoniewie w powiecie sandomierskim.

Następnie z całą rodziną zamieszkała w Śremie. Od 1 września 1945 roku powiatowy inspektor szkolny powierzył Jej posadę nauczycielską przy Publicznej Szkole Powszechnej Męskiej w Śremie przy ul. Łazienkowej (obecnie w tym budynku, ale przy ul. Piłsudskiego ma swoją siedzibę Zespół Szkół Specjalnych im. Marii Grzegorzewskiej). Kierownikiem szkoły był pan Stanisław Jurga. Razem z panią Władysławą Hampel w początkowym okresie powojennym w szkole uczyli m.in.: Władysława Adamczewska, Leontyna Janiszewska, Jadwiga Kordos, Bronisława Milewska, Marian Wieliński i inni.

W roku 1952/53 w szkole, w której uczyła pani Władysława została zaprowadzona koedukacja. Panowało w niej duże przepełnienie. Warunki nauczania poprawiły się od





dnia 11 listopada 1957 roku, kiedy to oddany został do użytku obszerny budynek nowej szkoły przy ul. Kochanowskiego na Starym Mieście. Do gmachu tego przeniesiono uczniów ze starego budynku dawnej szkoły męskiej nad Wartą wraz z nauczycielami i kierownictwem szkoły. Nowa szkoła otrzymała numer 1. Również do nowej szkoły przeszła pani Władysława Hampel i przez długie lata uczyła w niej swojego ukochanego przedmiotu - matematyki. Stała się go pokazać uczniom jak najlepiej.

Z okazji jubileuszu 90. rocznicy swoich urodzin w wydawie do gazety przyznała, że miała posłuch u młodzieży. Przywiązanie do wymagającej, ale wyrozumiałej nauczycielki wychodziło przy różnych okazjach, na których pani Władysława była gościem honorowym. Podchodziły do Niej uśmiechnięte panie i panowie pytając: "Czy mnie Pani pamięta?".

Pani Władysława najlepiej wspominała albo bardzo zdolnych uczniów, albo największych rozrabiaków. Uczniowie po latach wspominali swoją nauczycielkę mówiąc: "Była bardzo wymagająca, ale naprawdę nauczyła nas matematyki i szanowaliśmy Ją za to".

Głód wiedzy po okresie wojennym i bardzo duże zapotrzebowanie na uzupełnienie wykształcenia powodował bardzo dużą aktywność zawodową pani Władysławy. Po odbyciu swoich etatowych lekcji pełniła funkcje kierownice i przede wszystkim uczyła matematyki:

- na kursach "Oświaty dla Dorosłych",
- w Ośrodku Leczenia i Szkolenia Reumatyków, a potem w Ośrodku Rehabilitacyjnym w Śremie,
- w szkole dla pracujących przy Spółdzielni Pracy "Włóknierz",
- w Jednostce Wojskowej.

Ponadto pracowała w Powiatowym Ośrodku Metodycznym w Śremie łącząc z wielkim poświęceniem swoją pracę zawodową z pracą instruktazową na rzecz innych nauczycieli matematyki powiatu śremskiego.

Podnosząc swoje kwalifikacje zawodowe ukończyła Studium Nauczycielskie w Poznaniu o kierunku matematyka.

Po przejściu na emeryturę w dalszym ciągu pracowała ucząc matematyki w Szkole Podstawowej nr 1 i nr 4 w Śremie oraz w Zbrudzewie.

Wspominając swoje lata aktywności zawodowej pani Władysława zawsze mówiła, że pracowała podwójnie, tzn. na dwóch lub więcej etatach, nierzadko po godz. 2100 wieczorem.

Bardzo lubiła pracę z młodzieżą, dlatego tak długo, będąc już na emeryturze nie mogła rozstać się z nauczaniem i wychowaniem. W czasie towarzyskich odwiedzin przy kawie godzinami

mogła opowiadać o szkole i swojej pracy pedagogicznej, którą wprost uwielbiała. Praca dawała Jej siłę do tak ofiarnego i długiego życia.

Należała do Związku Nauczycielstwa Polskiego od początku swojej pracy zawodowej. W latach 1939 - 1945 Związek działał w konspiracji jako Tajna Organizacja Nauczycielska, organizując i prowadząc tajne nauczanie. Pani Władysława prowadziła nauczanie na poziomie szkoły podstawowej.

Będąc już na emeryturze chętnie uczestniczyła w życiu związkowym biorąc udział w różnorodnych imprezach kulturalnych i towarzyskich. Członkowie Sekcji Emerytów i Rentistów przy Zarządzie Oddziału ZNP w Śremie uczcili jubileusz 90 lat życia pani Władysławy organizując niecodzienną uroczystość.

Za rzetelną i w pełni zaangażowaną pracę dydaktyczno-wychowawczą, za codzienny trud nauczycielski i ogromną odpowiedzialność ciężących obowiązków służbowych otrzymała m.in. odznaczenia resortowe i państwowe oraz nagrody:

- Medal Komisji Edukacji Narodowej,
- Złoty Krzyż Zasługi,
- Nagrody Kuratora Oświaty i Wychowania w Poznaniu,
- Dyplom Zarządu Okręgu Poznańskiego za ponad 50-letnią zaangażowaną przynależność do ZNP,
- Medal Za Zasługi dla Związku Kombatanów RP.

Pani Władysława Hampel pomimo sędziwego wieku z największą chęcią stanęłaby jeszcze raz za nauczycielskim biurkiem, aby z tą samą pasją co przed laty wpajać uczniom matematyczne rachunki.

Do końca życia była bardzo towarzyska. Miała grono oddanych przyjaciół i koleżanek. Godzinami czytała książki o tematyce politycznej i to ...bez okularów.

Zmarła 11 czerwca 2002 roku i została pochowana na cmentarzu parafialnym przy ul. Cmentarnej w Śremie.

OPRACOWAŁA
Wanda SOŁTYSIAK
*na podstawie rozmowy z córką
i archiwum domowego.*

EDMUND BOJANOWSKI - TWÓRCA OCHRONEK I ZAŁOŻYCIEL ZGROMADZENIA SŁUŻEBNICZEK

Edmund Wojciech Bojanowski przyszedł na świat 14 listopada 1814, roku, jako syn Walentego i Teresy z Umińskich. Pochodził ze starego szlacheckiego rodu - herbu Junosza. Rodzina zamieszkiwała w wiosce Grabonóg koło Gostynia. W domu Bojanowskich starano się podtrzymywać tradycje katolickie i patriotyczne. Jego wuj, generał Jan Nepomucen Umiński uczestniczył w powstaniu kościuszkowskim, brał udział w wyprawach napoleońskich, a także zaznaczył swój udział w powstaniu listopadowym. Ród Bojanowskich był spokrewniony i skoliigaony z dziesiątkami domów wielkopolskich (Dziembowskimi, Kęszyckimi, Mieleckimi, Niegolewskimi, Potworowskimi, Szczanieckimi, Złotnickimi, Zychlińskimi). Kiedy miał 4 lata, ciężko zachorował. Gorąca modlitwa jego matki wyjednała synowi łaskę uzdrowienia. Silny wpływ na jego osobowość wywarła matka, jej przywiązanie do religii i kult Bazyliki na Świętej Górze w pobliskim Gostyniu. W wieku 11 lat rozpoczął naukę pod kierunkiem ks. Jakuba Siwickiego. W 1832 roku 18-letni Edmund podjął studia na Uniwersytecie Wrocławskim, a następnie w Berlinie. Korzystał między innymi z wykładów historii sztuki, muzyki, psychologii, poezji, logiki. Osobiście poznał E. Odyńca, R. Schumann, współpracował z T. Lenartowiczem, A. Cieszkowskim, K. Libelem, a także inicjatorem pracy organicznej, lekarzem K. Marcinkowskim. Był miłośnikiem polskiego folkloru. Niestety, w 1839 roku został zmuszony przerwać studia z powodu choroby - gruźlicy. Po odbyciu kuracji w Dusznikach Zdroju, wrócił do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i zamieszkał u swego przyrodniego brata Teofila Wilkońskiego w Grabonogu, który po śmierci obojga rodziców był jego najbliższym krewnym. Tam zamieszkiwał właśnie przez 30 lat i realizował swoje główne powołanie życiowe - apostołstwo wśród ludzi wiejskich. Zapal do pracy dla dobra Ojczyzny nie opuszczał go. Sam cierpiący, potrafił skierować swoją naturalną wrażliwość na potrzeby innych. W 1842 roku ożywił słabo działający dotąd Wydział Literacki Kasyna Gostyńskiego i w

jego imieniu przystąpił do zakładania przy szkołach wiejskich czytelni. W czasie epidemii cholery, która w 1849 roku nawiedziła Gostyń i okolice, z narażeniem życia pielęgnował chorych, zyskując powszechny szacunek. W związku ze straszliwymi skutkami epidemii cholery, powstał pomysł zorganizowania przytułku (domu opieki, ochronki) dla dzieci i sierot, celem zapewnienia im nie tylko utrzymania, ale i chrześcijańskiego wychowania. Z zakładaniem ochronek zetknął się w czasie pobytu na zachodzie Europy. Zanalizował nabyte tam doświadczenia, próbował przenieść je na grunt polski.

Bojanowski uważał, że Kościół musi się realizować przede wszystkim w trosce o biednych. Hasłem przewodnim działalności Edmunda Bojanowskiego była aktualizacja i realizacja prawdy Ewangelii: "Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili". Inaczej więc niż w licznych zgromadzeniach powstających wówczas na Zachodzie Europy w celu pielęgnacji chorych i wychowywania dzieci, zgromadzenie Edmunda Bojanowskiego miało się poświęcić wyłącznie służbie ludności wiejskiej, i to w strukturach upodobnionych do rodzin. Temu celowi służyć miało utworzenie w tym czasie jego opus vitae Zgromadzenie Służebniczek Marii.

Obok akcji oświatowej Wydział Literacki Kasyna Gostyńskiego inspirowany przez Bojanowskiego zamierzał podjąć akcję wychowawczą wśród ludu polskiego, w której ważną rolę miały odegrać ochronki wiejskie. "Cel tak święty, a żywy byłby stokroć ważniejszym dla naszej moralnej kultury dziełem niż napelniane rozprawami akta".

Na posiedzeniu Wydziału 7 maja 1842 r. wysłuchano referatu Augusta Cieszkowskiego, autora rozprawki o "O ochronkach wiejskich", który poinformował słuchaczy o założonej przez siebie ochronce w Stawiskach. W dyskusji akcentowano los małoletnich, których rodzice zmuszeni do ciężkiej pracy nie mogli się nimi zajmować, stąd niesienie im pomocy było tak istotne dla przyszłości wsi polskiej.

"Instytucja ta, biorąc pod macierzystą pieczę pierwotne wychowanie biednych, które z niemożności ciągłego nad nimi nadzoru rodzicielskiego bywają dotąd smutne zaniedbane obiecuje tak błogi w samym zarodzie wywierać wpływ na przyszłe pokolenia naszego rodu i szczęścia całej społeczności, iż Wydział Literacki, jakkolwiek ten podmiot mógłby się zdawać nie należącym do niego z wszelką przecież gorliwością usiłuje nim się zajmować". Edmund Bojanowski przystąpił do działania. W styczniu 1844 r. w porozumieniu z doktorem L. Gąsiorowskim, swoim dawnym przyjacielem, założył pierwszą ochronkę w Poznaniu na Śródcie, po czym w tym samym roku powstała ochronka w Gostyniu, dwunasta, dla której Bojanowski napisał statut. W ślad za ochronką poznańską i gostyńską powstała jeszcze śremska i psarska. W dniu



10 lutego 1846 roku nastąpił kres działalności Kasyna Gostyńskiego, rozwiązano je wskutek nakazu władz pruskich. Budynek dawnego Kasyna, został przekształcony na dom dla ubogich, chorych, nazwany przez Bojanowskiego "Instytutem", jako że określenie to było wówczas rozpowszechnione i wieloznaczne.

Oceną działalności Bojanowskiego w pierwszym okresie istnienia Instytutu znajdujemy w liście Jana Koźmiana do ks. Kajsiewicza "Zakład Sióstr w Gostyniu (ochronka, szkoła dziewcząt i szpital) dobrze prosperują. Panuje tam wzorowy porządek. Wielką pomocą dla sióstr jest E. Bojanowski, człowiek rzadkiego poświęcenia, który sam dzieci uczy."

Instytut nieustannie walczył z trudnościami materialnymi, ale dzięki zapobiegliwości "Fundatora i Dobroczyńcy" - Stanisława Chłapowskiego - dom pokazowy został w listopadzie 1851 r. zakupiony na własność.

Prowadzenie "Instytutu" powierzył Bojanowski Siostrom Miłosierdzia świętego Wincentego a Paulo, z których pierwsze przybyły z Poznania do Gostynia 21 sierpnia 1849 roku. Zapisów hipotecznych na rzecz Instytu-

tu przybywało coraz więcej. Bojanowski ofiarował na ten cel i swoje skromne zasoby. Na czele Instytutu stał zarząd złożony z 5 osób: Stanisław Chłapowski, Edmund Bojanowski, ks. Atanazy Szulczyński, Teofil Wilkoński, Mikołaj Węsierski. Z dniem 1 lipca 1850 roku dokonano połączenia Instytutu z ochronką gostyńską istniejącą od 5 lat. Siostry oprócz nauki elementarnej i religii miały otrzymywać w zakładzie mieszkanie, żywność i odzież. Chłopcy mieli pozostać w Instytucie, aż do 6 roku życia, dziewczęta do ukończenia 20 lat. Dziew-

częta po 14 roku życia można było przyjmować na naukę gospodarstwa domowego, pielęgnacji chorych oraz wychowywania dzieci ochronkowych. Niestety, tak bogatego programu nie udało się w pełni zrealizować, przede wszystkim z powodu

trudności lokalowych. Działalność ochronek sprowadzała się do zapewnienia sierotom wychowania i przygotowania do życia. Instytut jako dom ich dzieciństwa, miał stać się dla nich równocześnie szkołą przyszłości, stąd ważną rzeczą było przyzwyczajanie ich do życia z pracą własnych. Był przekonany, że "matka ziemia do sytości karmić je będzie i przytulenia nigdy nie odmówi, skoro jej tylko staranie i pracę poświęca". Wychodząc z założenia, że strona moralna i religijna we wszelkim wychowaniu, główną jest rzeczą, właśnie do wychowania religijnego przywiązywał Bojanowski największe znaczenie. Dlatego prowadzenie zakładu powierzył siostrom zakonnym, w Instytucie urządził kaplicę i dbał o to, by codziennie odprawiała się w niej msza święta. Specjalnie dla dzieci ułożył "Litanię dla Świętych Dzieł" - dając im wzór modlitwy przez wprowadzenie do niej prób związanych z ich codziennym życiem. Bojanowski stworzył własną koncepcję ochronek wiejskich. Ochronki wiejskie w Polsce w pojęciu ich założyciela miały być strażnicami rodzimej tradycji, rodzimej prostoty i narodowych obyczajów. Pierwszą ochronkę wiej-

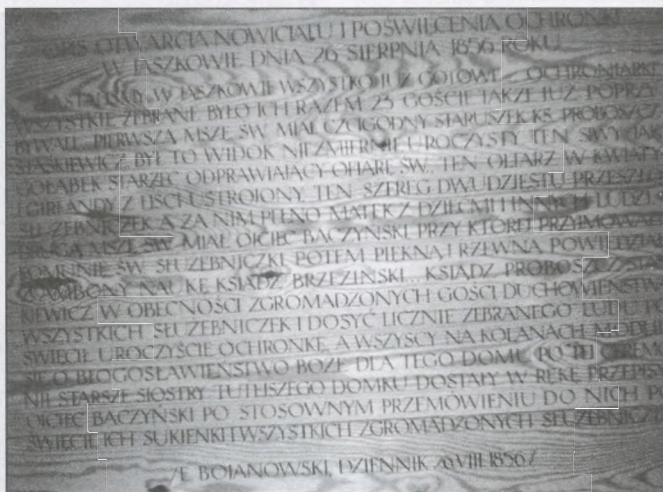
ską założył w Podrzedzu - 1850, drugą w Kopaszewie - 1854, trzecią w niedalekiej Turwi - 1855 r. majątku generała Chłapowskiego. Sposobność zrealizowania tej myśli nadarzyła się, gdy wiosną 1849 roku, zgłosiła się do niego Franciszka Przewoźna, wieśniaczka z Podrzedza, małej wioski leżącej opodal Gostynia. Ona to zaproponowała Bojanowskiemu urządzenie w jej domu, ochronki wiejskiej na wzór ochronki istniejącej już w Gostyniu. Jeszcze tego samego roku dobudowano do domu Przewoźnej dwie izby, które wraz z ogródkiem przeznaczone zo-

stały na użytek ochronki. Uroczyste otwarcie ochronki w Podrzedzu nastąpiło 3 maja 1850 roku. Dzieło Bojanowskiego z każdym rokiem "rozwijało się i dojrzewało wewnętrznie". Przez pierwsze lata ochraniarki wdrażane były jedynie w obowiązki wychowawczyń, pielęgniarek, na podłożu

ściśle religijnym. Ochronka stawała się integralną częścią życia podrzedckiego. Od pierwszego roku jej istnienia do Bojanowskiego zgłaszały się nowe kandydatki. Jako druga założona została ochronka w Kopaszewie, w dobrach Jana Koźmiana w 1854 roku. W lipcu 1854 roku Bojanowski kierował ochraniarki podrzedkie na rekolekcje, polecając im na zakończenie włożyć jednokowe, błękitne suknie. Kolor sukni i biała sztywna chustka upięta na kształt welonu były stylizacją stroju Niepokalanej. Wspólnie z Janem Koźmianem naszkicował projekt reguły "Służebnic Najświętszej Panny", w celu przekazania go zmartwychwstańcom w Rzymie - ks. Hieronimowi Kajsiewiczowi i Piotrowi Semenence - by po zasięgnięciu rady w Kongregacji, ułożyli na jego podstawie regułę. Superior jezuitów ze Śremu radził Bojanowskiemu, by kierownictwo duchowe zgromadzenia powierzyć jakiemuś księdzu. Bojanowski uznał słuszność tego, ale nie widząc chwilowo odpowiedniej osoby, liczył na Jana Koźmiana, który wówczas udał się do seminarium duchownego do Rzymu. Pomyślnym skutkiem zostały uwieńczone starania Bojanowskiego o samoist-

ny nowicjat. Po rozpatrzeniu kilku możliwości, wspólnie ze Stanisławem Koźmianem, bratem Jana, podjął decyzję wydzierżawienia nie zamieszkanego probostwa w Jaszkwie. Był to nieduży domek o czterech izbach, stojący obok kościoła. Rozłożyste lipy, okalające plac kościelny, dodawały mu powagi i uroku. Z drugiej strony, za domem rozciągał się wspaniały widok na szeroko rozlewającą swe wody Wartę. Komendantem Jaskowa był wtedy sędziwy ks. Antoni Staśkiewicz, proboszcz z Żabna. Otwarcie nowicjatu nastąpiło 26 sierpnia 1856 roku.

Po 11 miesiącach zniknął w dziejach służebniczek nowicjat u Sióstr Miłosierdzia w Gostyniu, nie spełniwszy swego zadania. Od otwarcia nowicjatu w Jaszkwie rozpoczął się nowy okres dziejów służebniczek. Od tej chwili mieścił się tam również dom generalny Zgromadzenia Służebniczek Maryi. Przełożoną główną zgromadzenia została siostra



Matylda Jasińska, jej asystentką, sekretarką, a zarazem mistrzynią nowicjatu, siostra Elżbieta Szkudłapska. Opiekę duchową sprawowali ojcowie jezuiti ze Śremu, którzy często odprawiali w Jaszkwie mszę świętą. Wyrazem uznania Kościoła było też błogosławieństwo Ojca Świętego Piusa IX udzielone 11 kwietnia 1859 roku Bojanowskiemu i jego dziełu, a przywiezione przez ks. Koźmiana. Działalność Bojanowskiego w Instytucie zakończyła się z dniem 26 lutego 1857 roku, kiedy Stanisław Chłapowski, jako przewodniczący zarządu przepisał dom Instytutu na siostry miłosierdzia, stosownie do życzenia przełożonych sióstr, a tym samym zarząd uległ rozwiązaniu. W latach 1858-1871 w samym Wielkim Księstwie Poznańskim powstały 22 ochronki prowadzone przez Służebniczki Maryi. Przy wydatnej pomocy Cezarego Platara podjęto na gruncie ofiarowanym przez właścicieli Jaskowa Melchiora i Albertynę Szoldrskich - budowę własnego zgromadzenia, które stanęło w 1862 roku. W dniach 17-23 czerwca 1871 roku Bojanowski przebywał w Jaszkwie po raz ostatni. Życie jego dobiegło końca. U kresu jego życia, założone przez niego zgro-

madzenie liczyło 22 domy, w których przebywało 98 sióstr. Pod koniec 1868 roku Bojanowski opuścił Grabonóg, gdzie dworek służył mu za mieszkanie, biuro i pustelnię, poczuł się bezdomnym. Skorzystał zatem z zaproszenia ks. Koźmiana i zamieszkał w Poznaniu. Jednak nie na długo. Zapragnął ukoronować swoje pełne ofiar życie święceniami kapłańskimi. Na skutek specjalnego pozwolenia arcybiskupa Ledóchowskiego, 30 marca 1869 roku mając 55 lat, wstąpił do Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Począł się uczyć łaciny. Po 4 miesiącach pobytu w seminarium otrzymał sutannę. Od lat nękała go choroba. Podleczo-na gruźlica płuc często dawała znać o sobie.

Od maja 1870 roku na stałe zamieszkał u ks. Gieburrowskiego w Górcie Duchownej. Przez najbliższy rok przebywał tylko i wyłącznie w Górcie Duchownej. Jego zdrowie stale się pogarszało i dla otoczenia nie ulegało wątpliwości, że życie jego dobiega końca. "Dziennik" jego kończy się 23 lipca 1871 roku. Czując zbliżającą się śmierć uzupełnił testament z 1869 roku. Dnia 29 lipca przyjął sakrament chorych. Wydał dyspozycje, co do swego pogrzebu. Życzył sobie spocząć w Jaszkwie, o co też listownie prosił pana Szoldrskiego, aby pozwolił spocząć w grobach tej rodziny.

Ostatnie dni życia Bojanowskiego naznaczone były ustawiczną modlitwą. Zmarł 7 sierpnia 1871 roku. 9 sierpnia wieczorem nastąpiło wprowadzenie zwłok do kościoła w Górcie Duchownej. Mowę pożegnalną wygłosił ks. Gieburowski, podkreślając charakter życia zmarłego.

Przekonanie o świętości Bojanowskiego rosło w miarę upływu lat, po jego śmierci. Wielkopolska gałąź Służebniczek, najbardziej powołana do podjęcia prac związanych z procesem beatyfikacyjnym z racji działalności na terenach, na których żył. Ich założycielka, oczekiwała zatwierdzenia papieskiego. Uzyskała je w roku 1931 na 7 lat, a w 1940 roku definitywnie. Na prośbę Zgromadzenia Sióstr Służebniczek, kardynał prymas Hlond pismem z dnia 31 grudnia 1945 roku zarządził przygotowanie wszczęcia procesu beatyfikacyjnego świątobliwego założyciela Edmunda Bojanowskiego.

Szedł do ludzi prostych. Jednak być prostym, nie znaczy pozostawać prostakiem. Wyprowadzać ludzi z prymitywizmu, ignorancji, ograniczenia- to znaczy świadomie przydawać im godności i wartości. Edmund Bojanowski zaczął od zakładania wypożyczalni książek, od pracy kulturalnej, od dowartościowywania korzeni i tradycji. Bez tego bowiem człowiek nie ma poczucia swojej tożsamości. Edmund Bojanowski i jego współpra-

cownicy, nie pracowali dla pieniędzy. Jednak poprzez swoją działalność pokazali i udowodnili, że przez pracę człowiek się uczy, jak służyć innym i jak stawiać się coś wartym dla siebie i innych człowiekiem.

Wiadomo, sam człowiek niewiele umie, niewiele chce, niewiele może. Dobro tworzy się trudno, a o zło aż nazbyt łatwo. Mądrość też zdobywa się z trudem, a głupota przychodzi sama. Szczęście też samo i szybko nie przychodzi, bo trzeba na nie zasłużyć i zapracować.

Podczas pielgrzymki do Polski w 1999 roku Jan Paweł II dokonał beatyfikacji Sługi Bożego Edmunda Bojanowskiego. Uroczystość odbyła się w 60 lat po przedłożeniu arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i poznańskiemu prymasowi Augustowi Hlondowi prośby o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego. Prośbę skierowały Siostry Służebniczki Maryi, należące do zgromadzenia, którego twórcą był Bojanowski. Wybuch wojny uniemożliwił prymasowi zajęcie się tą sprawą. Bogobojne życie Edmunda Bojanowskiego wypełnione było typową dla XIX wieku w Wielkopolsce - pracą organiczną. Bojanowski usuwał siebie i własne potrzeby w cień, jego myśli, projekty na przyszłość i praktyczne działania kierowały się ku sprawom i potrzebom społeczeństwa. "Lud - powtarzał często na kartach swoich pism - jest jakoby rodzic nasz. Góruje nad warstwami wyższymi swą prostotą, szczerością, prawdą, niewinnością prawie dziecięcą, a przede wszystkim pobożnością, która jest rdzeniem jego istoty. Praca Bojanowskiego przyniosła nadzwyczajny efekt. Jeszcze za jego życia powstały 54 ochronki, z tego 34 w Poznańskim, 14 - w zaborze austriackim, 2 - rosyjskim, 4 - na Śląsku.

Edmunda Bojanowskiego nazywano "drugim Wincentym aPaulo". Lata życia i działalności Bojanowskiego to okres wzmożonej pracy organicznej w Wielkopolsce. Na podobnej "niwie społecznej" działali Seweryn Mielżyński, Karol Libelt, Tytus Działyński, Maurycy Raczynski.

W Jaszkwie do dnia dzisiejszego istnieje muzeum poświęcone życiu i działalności Sługi Bożego Edmunda Bojanowskiego. Zgromadzono wiele unikalnych eksponatów z XIX wieku. Właśnie w Jaszkwie w 1862 roku na gruncie ofiarowanym przez właścicieli tejże miejscowości Melchiora i Albertynę Szoldrskich powstało własne zgromadzenie.

Miesiąc przed śmiercią Edmund Bojanowski przebywał w Jaszkwie po raz ostatni.

Elżbieta JANKOWSKA
Foto: autorka

„Wspomnienia przy świętecznym stole” cz. VIII

Mimo upływu lat zawsze z wielkim sentymentem wspominam okres nauki w śremskim Liceum Ogólnokształcącym. Byłam trzecią osobą z rodziny (po kuzynie Adamie Salmonowiczu i bracie Jerzym), która wstąpiła w te zacne progi. Ojciec wbijał nam zawsze do głowy, że bycie licealistką zobowiązuje do odpowiedniego zachowania. Ze wspomnień Ojca wiedzieliśmy, że kiedy zdawał maturę w latach trzydziestych w Gostyniu, to cały rocznik liczył ok. piętnastu osób. Ukończenie liceum dawało odpowiedni prestiż, a ówczesna „mała matura” otwierała furtkę do średniego szczebla urzędniczego. Mama ze swej strony dodawała do tych refleksji swoje wspomnienia z edukacji w liceum ss. Urszulanek w Belgii i matury w liceum pań Rolbickich w Bydgoszczy. Wszystkie te miłe wspomnienia Rodziców były niczym w porównaniu z relacjami bieżącymi kuzyna i brata, co mnie czeka z progach liceum. Sami do dzisiaj twierdzą, że „przecierali szlak” i ja miałam najłatwiej. Sądzę, że to Rodzice „osłabieni” latami emocji związanych z naszą edukacją, przy mnie nie reagowali zbyt ostro.

W latach naszego dzieciństwa czerwony budynek przy ul. Poznańskiej nadal obrastał w dostojeństwo, jubileusze, a niektórzy profesorowie w legendę. Były to czasy (początek lat sześćdziesiątych), kiedy np. wszyscy oficerowie śremskiego garnizonu z dowódcą na cze-

le - karnie pobierali naukę, aby nadrobić to, co zabrała im wojna i powojenne lata. Jak dowódcy przejęci byli tym problemem - świadczy historia lekarza pułkowego z powojennym dyplomem Akademii Medycznej. Historia jest autentyczna, opowiadał ją naszemu Ojcu sam wściekły zainteresowany. Został wezwany przez swojego dowódcę, który zbesztal go od ostatnich, bo lekceważy rozkazy marszałka Rokosowskiego i nie zapisał się

na maturalny kurs dla oficerów - dyplomowany lekarz! Było też w powiecie sporo osób, których okoliczności zmusiły do zaocznej nauki. Traktowali więc wszyscy śremską Alma Mater z należytym respektem. Miało to także swój wpływ na młodzież, która nim przekroczyła progi szacownych murów, miała po-

czucie własnej nicości wobec starszych kolegów i licealnego aeropagu profesorskiego. Takie postacie jak „Dyro” - dyrektor Pankowski, „Malina” - profesor Malińska (matematyczka), „Loga” - profesor Gołębiowska, „Balcer” - profesor Balcerowicz (historyk), profesor Judek (chemik), „Teci” - profesor Światalski, to właśnie oni tworzyli atmosferę i autorytet szkoły. Były to postacie, których sława obejmowała szerokie kręgi uczniowskie, a szczególnie u uczniów siódmej klasy budziła zadumę i niepokój. Ich autorytet jako pedagogów nie budził żadnych wątpliwości i potrafili utrzymać swoich uczniów w ryzach. Co wcale nie znaczy, że byliśmy tłumem za-



straszonych uczniów, było wesoło, ale wiedzieliśmy, na ile możemy sobie pozwolić. Dlatego obraz szkoły ze złe pojętym luzem i całkowity brak kindersztuby wśród młodzieży, a także zanikanie autorytetu pedagogów jest nie do przyjęcia i budzi w nas grozę. Proszę mi tylko nie wypominać, że to objaw straszenia i "smrodek dydaktyczny" i że dzisiaj jest inaczej - oj jest, jest!

Właściwie nasze wspomnienia z liceum powinienam podzielić na trzy części: pierwsza związana z edukacją naszego kuzyna Adama, który w ostatnich rozmowach telefonicznych opowiadał mi o profesorach i swojej klasie. Jego rocznik to koniec lat pięćdziesiątych. Do dzisiaj jako starszy pan jest skory do żartów, a więc miał "swoje i w szkole za uszami". Obraz szkoły i profesorów w jego wspomnieniach i anegdotach jest ciągle żywy (mimo odległości - mieszka w Stanach Zjednoczonych) interesuje się nowinkami ze Śremu.

Brat Jerzy odpowiadał na moje apele sporą ilością notatek dotyczących szkoły i naszych profesorów. Niewielki przedział czasu, bo tylko trzy lata w naszej maturze, daje nam szansę na uzupełnienie wspomnień. Zdanie z notatek brata: "Adaś i Jurek zainteresowania odległymi od zajęć szkolnych zupełnie zrujnowali rodzinną opinię wśród grona pedagogicznego". Chyba nie było aż tak źle. Po bardzo szerokiej wiedzy mojego brata z zakresu historii profesor Balcerowicz oczekiwał tego samego ode mnie. Gorzej było z matematyką. Wybitny matematyk, jakim była pani profesor Malińska oświadczyła, że nikt tak jej nie ucieszył ukończeniem liceum jak Jerzy, a ja przez te wszystkie lata byłam przekonana, że pani Malińska powiedziała to o mnie. Oboje z bratem stanowiliśmy więc dwa z tych nielicznych przypadków, które wyedukowała w zakresie niezbędnym z dużym trudem i mozolem. Ogromnym autorytetem dla nas był prof. Balcerowicz. Moje zainteresowania zawodem narodziły się w liceum. Trudno dzisiaj powiedzieć,

jak profesor Balcerowicz budował swój autorytet. Nie robił nic, co można by określić zabieganiem o popularność. Zawsze zdyscyplinowany, kompetentny i trochę zdystansowany. Emanował spokojem i wewnętrzną siłą, które nakazywały szacunek. Z perspektywy lat myślę, że było w nim sporo nieśmiałości, która wyczuwana przez młodzież jednała mu sympatię. Moje ostatnie wspomnienie związane z profesorem to wizyta w szpitalu w Śremie, na krótko przed Jego śmiercią. Byłam na otwarciu wystawy w Muzeum Śremskim, gdzie dowie-

działam się o Jego chorobie. Nasza rozmowa to była moja relacja z pracy i podziękowanie za to czego nas nauczył. Z małymi wyjątkami profesorowie za czasów Adama, Jerzego i moich holdowali "przedwojennym" wartościom i obyczajom panującym w szkołach średnich. Trakto-



wano nas jak ludzi dorosłych w zamian oczekując zachowań jakie dorosłym przystają, tym samym podnoszono poprzeczkę wymagań. Dopiero w czasie wycieczek i zajęć pozalekcyjnych oglądaliśmy profesorów z tej sympatyczniejszej strony. Byli też profesorowie, którzy stylem pracy żywo przypominali cudowne panie ze szkoły podstawowej: panie Winiecka, Zapłata, na których wspomnienie jeszcze dzisiaj robi się ciepło koło serca. Na przykład profesor Bińkowski (uczył biologii Adama i Jerzego, mnie już nie) zwany "Wackiem". Człowiek wyjątkowej dobroci, biolog o rozległej wiedzy humanistycznej, stały bohater ciepłych wspomnień kuzyna Adama. Albo najmłodszy ze "starej gwardii" "Teci" Świtalski. Wiecznie zabiegany z rozwichrzoną blond czupryną. Jego życiowy temperament, sympatia okazywana uczniom i wesołość co rusz wylazły z profesorskiej ramki. Nie wstydził się, że lubi młodzież i nawet kiedy się złościł, nie trwało to długo. Ich całkowitym przeciwieństwem była profesor Gołębiowska (Jerzego uczyła rosyjskiego, mnie francuskiego) legenda szeregu licealistów. Słynęła z surowości i wysokich wymagań. Wysoka, starsza pani, zawsze w czerni, o pełnym god-

ności wyglądzie i stosownych manierach prawdziwej damy. Plotkowano, że studiowała na Sorbonie, że pochodziła z Kresów i że Rosjanie nazywali ją "gordą Pal-jaczka" - dumna Polka. Z wiekiem złagodniała, ale zawsze z niesmakiem przyjmowała wybryki młodzieży.

Osobny rozdział stanowiła nieobowiązkowa nauka religii. Przy zmieniających się nastawieniach władz, lekcje odbywały się w szkole a później w ramach laicyzacji szkoły lekcje religii przeniesione zostały do pobliskiego konwiktu. Nie miało to żadnego wpływu na frekwencję. Chodzili wszyscy uczniowie. Księża się zmieniali i sympatie uczniów też były podzielone. Kuzyn Adam i mój brat nie lubili np. księdza prefekta M., bo miał zwyczaj docierać do uczniów indywidualnymi rozmowami zwanymi "wzywaniem na duszyczki". Był to mądry człowiek, społecznik z pokaźnym dorobkiem naukowym. Naukę z młodzieżą traktował jako swoisty czyściec. Kuzyn Adam wspólnie z kolegą z klasy odkryli, że ksiądz prefekt nie czyta sprawdzianów, które każe młodzieży pisać. Wystarczyło pisać dużo i niewyraźnie, aby od kilku stron dobry stopień był murowany. Mój brat, który i tak gryzmoł strasznie korzystając z tej "tajemnicy" robił to samo z dobrym skutkiem. Ja już tej metody nie miałam okazji wypróbować, gdyż zmienił się ksiądz prefekt. Miałam to szczęście, że byłam uczennicą księ-

dza Jonatowskiego. Człowieka światłego, rozmiłowanego w sztuce, znawcę opery. Ksiądz Jonatowski, bardzo elegancki w sposobie bycia, traktował młodzież przyjaźnie, ze spokojem zachowując odpowiedni dystans, nie pamiętam żeby się denerwował czy moralizował w męczący sposób. Był uzdolniony plastycznie - zachwycaliśmy się wykonanymi przez księdza prefekta kopiami obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej - mam taki niewielkich rozmiarów obraz, który mi zawsze towarzyszy. Każda klasa maturalna wyjeżdżała z księdzem Jonatowskim do Częstochowy, gdzie na Jasnej Górze odprawiał mszę, było to dla nas nie tylko przeżycie religijne, ale także dzięki księdzu prefektowi i jego wnikliwym komentarzom spotkanie z historią i sztuką.

O mojej klasie zwanej "babińcem", jeszcze o profesorach, w następnej części wspomnień.

Anna SURZYŃSKA-BŁASZAK

Foto: archiwum

1. Klasa maturalna 1962 r. Częstochowa, pierwszy z prawej Jerzy Sura-Surzyński.
2. Młodzież LO na wycieczce w Krakowie, w garniturze prof. Balcerowicz, foto wykonał prof. Świtalski.
3. W trzy lata później licealiści w Krakowie, siedzą: prof. Balcerowicz i Świtalski, obok Anna Surzyńska



„NIEZAPOMINAJKI”

czyli urywki z życia wzięte cz. X

Ranki są już coraz chłodniejsze i jarzębina się czerwieni. Jesień nadchodzi szybkimi krokami. Chciałoby się zaśpiewać: "A mnie jest szkoda lata"... Właśnie wspominaliśmy z mamą nasze wakacje w Międzywodziu na turnusie rehabilitacyjnym. Każdy z tych sierpniowych wyjazdów był dla mnie prawdziwą próbą zawodową. Jako wolontariusz leczyłam dzieci z rzadkimi zespołami neurologicznymi (zespół Retta), wrodzonymi wadami serca, porażeniem mózgowym dziecięcym i padaczką. Jednocześnie kontakt z chorymi dziećmi dawał mi wiele radości i satysfakcji zawodowej, gdy np. po napadzie padaczkowym (kolejnym w ciągu doby) dziewczynka odzyskując przytomność głośno mówiła po twarzy swoją ulubioną maskotką mówiąc: "Wiesz, ja ciebie Kocham"...

Albo kiedy ustawiała się do mnie kolejka dzieciaków do zbadania, a u koleżanki świeciło pustkami. Miałam też swój sekret. Specjalnie na turnus kupiłam latarkę w kształcie małego samochodu, którą po prostu wjeżdżałam do gardła bez pomocy szpatułki.

Będąc w Międzywodziu zajmowałam się nie tylko uczestnikami turnusu. Po uzdrowisku rozeszła się wiadomość, że w "Jantarze" gdzie stacjonowaliśmy, zawsze jest lekarz. Tak też było rzeczywiście. Funkcję lekarzy turnusowych oprócz mnie sprawowały jeszcze dwie koleżanki - dr Ela - lekarz rodzinny z Puszczykowa oraz dr Henia - ortopeda z Poznania. Ponadto opiekunkami grup było troje lekarzy-stażystów. Nie lubię się opalać, dlatego to mnie spotykano najczęściej na dyżurze w ośrodku.

Zgłaszały się do gabinetu osoby uządlone przez owdy, rodzice z chorymi dziećmi z różnych okolic kraju.

Raz pojawili się na konsultację rodzice z 13-miesięczną dziewczynką z Opola. Okazało się, że jej rozwój jest znacznie opóźniony i odpowiada ok. 3. miesiącowi życia dziecka. Zaleciłam konsultację neurologa i intensywną rehabilitację. Wszystkie uwagi spisałam na kartce dla lekarza rodzinnego w miejscu zamieszkania.

Któregoś dnia moja mam zauważyła spore poruszenie przy dyżurce. Jacys ludzie mocno gestykulowali. Wszyscy myśleli, że to obcokrajowcy. A to tylko głuchonieme małżeństwo rozpaczliwie szukało pomocy. Kobieta przed chwilą użądliła osą. Podałam jej leki i na migi dałam dalsze zalecenia.

Innym razem przyprowadzono mi kulejącą kobietę, która źle stąpnęła grając w tenisa. Po badaniu okazało się, że ma pękniętą torebkę stawową i trzeba założyć gips. Bar-

dzo szybko postępowal obrzęk. Po wstępnym usztynieniu kostki skierowałam ją do Pogotowia Ratunkowego, które niestety było ok. 20 km od nas. Później na plaży owa pani machała do mnie kończyną w gipsie na znak, że się nie myliłam.

Przez plot sąsiedowaliśmy z inną poznańską grupą, która również czę-

sto korzystała z naszej pomocy.

Czasem wracając do pokoju zastawałam pod drzwiami kartki z podziękowaniem za udzieloną pomoc. Innym razem były czekoladki czy ciastka i kawa.

To były miłe gesty.

W Międzywodziu spotykały też mnie inne "niespodzianki". Otóż po moim występie podczas "Dnia Sponsora" na I turnusie, jako wróżącej cyganki, nie mogłam się opędzić od chętnych do wróżenia z ręki czy postawienia kabały. Były to pokojówki z pensjonatu i młoda kadra turnusowa. Śmiałyśmy się z mamą, że na tej medycynie to ja się nie dorobię, ale na wróżeniu, to kto wie? Bo przecież do wróżki nie można iść z pustymi rękoma. Mimo że traktowałam to z przysmrużeniem oka, moje przepowiednie się sprawdzały. Robiło to duże wrażenie zwłaszcza na osobach, które mnie nie znały. Prawie zawsze otrzymywałam jakiś upominek.

Niedawno byłam w Łodzi. Okazję stanowił kolejny jubileuszowy Zjazd Absolwentów Akademii Medycznej mojego rocznika. Zabrałam ze sobą moją siostrzenicę Paulinę,



aby pokazać jej te wszystkie wspaniałe miejsca, które odwiedzałam regularnie podczas studiów. Tym razem jechałyśmy samochodem. Jak zwykle w takich razach pomyliłam drogę, ale w ostatniej chwili udało nam się wskoczyć na "trasę awaryjną" i nawet się nie spóźniłam na otwarcie zjazdu. Szczegrze mówiąc tylko dzięki chłopakowi, który pilutował nas od Retkinii, aż do siedziby uczelni - swoim granatowym "Fordem".

Właśnie widzieliśmy historyczny moment zmiany szyldu z "AKADEMII MEDYCZNEJ" na "UNIwersYTET MEDYCZNY", bowiem dwie uczelnie łódzkie - cywilna i wojskowa połączyły się.

Było mi bardzo miło, ponieważ wszyscy mnie poznali i podchodzili się przywitać, a z mojej 10-osobowej grupy tym razem przyjechało 6 osób. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcia w sali kominkowej. Dołączył do nas jeszcze kolega Sławek, z którym ćwiczyłam na zajęciach z biochemii. Pamiętam, jak mieliśmy się dobrać w pary, to od razu do

mnie podszedł i poprosił: "Grażyna bądź ze mną, to przynajmniej ktoś się będzie orientował co robimy". Krzywił się potem z obrzydzeniem, jak homogenizowałam wątrobę szczura, aby wyizolować enzymy. Również elektroforeza bibułowa (całkiem śmierdzące zajęcia) była mu obca. Sławek miał jednak tę zaletę, że posiadał samochód i to właśnie on, i jeszcze jeden kolega zabierali nas w przerwach zajęć do cukierki na ul. Piotrkowską. Teraz Sławek jest internistą i reumatologiem. Całkiem pokrewna dusza. Emanuje spokojem. Nie da się tego powiedzieć o pozostałych kolegach z grupy.

Na zdjęciu Sławek stoi pierwszy z lewej. Obok Wojtek C. - ginekolog-położnik, z racji moich wcześniejszych wesołych wspomnień stanęłam w środku, tuż przy nim - ja - internista, specjalista chorób zakaźnych. Dalej w czerwonej garsonce jest Ela P. - specjalista pediatra. Przy niej Małgosia P. - starościna grupy, obecnie pulmonolog. Dalej Andrzej R. i Piotruś P. - obaj ginekologzy-położnicy.

Brakuje tylko Gosi O. - pulmonologa (wyjechała na stałe do Szwecji) oraz Sylwka N. - radiologa z Kalisza, Piotra M. - ortopedy z Łodzi i Tomka P. - również ortopedy z Torunia.

Niestety zjazdu nie prowadził już nasz starosta roku - Wojtek G. Nigdy Go już nie zobaczymy - zginął tragicznie. Uczuliśmy Jego pamięć chwilą ciszy.

Uroczystość otworzyli Marcin P. i Agnieszka P. - zastępcy starosty roku. Atmosfera była cudowna! Każdy kto chciał,

mógł wystąpić na mównicy i podzielić się swoimi wspomnieniami. Byłam zbyt wzruszona, ale następnym razem się odważyłam. Wystąpiła między innymi koleżanka Dorota, która zwracając się do siedzącego przy stole prezydialnym prof. W. Torzewskiej nie omieszkła przypomnieć swojej poprawki z interny, z powodu pytania z zakresu reumatologii. Na koniec z szelmowskim uśmiechem zapytała: "A wiecie koleżdy co ja teraz robię? Jestem ordynatorem Oddziału Reumatologicznego w Klinice Prywatnej w Tuszynie pod Łodzią."

Pani Profesor została wywołana do odpowiedzi (właśnie ONA oblała Dorotę!) i sama opowiedziała nam o swoich poprawkach. Obie otrzymały wielkie brawa. Niestety nie zostałam na balu i muszę się zadowolić wspomnieniami z części oficjalnej. Ale i tak warto było pojechać. Po południu z Pauliną odwiedziłyśmy wszystkie moje ulubione kafejki na ul. Piotrkowskiej i inne ciekawe miejsca. Przywiozłam też ładne pamiątki dla reszty rodziny.



Bardzo żałowałam, że z moich znajomych obcokrajowców nikt nie przyjechał na zjazd. Najbardziej mi było przykro, że nie przyjechała Tina - moja czarnoskóra przyjaciółka z Afryki - obecnie mieszkająca w USA. Oj, byłoby co wspominać!

Zaprzyjaźniłyśmy się z Leontiną, gdy zamieszkałam w akademiku. Znałyśmy się wcześniej z zajęć i często pomagałam jej w trudnościach językowych. Kiedy urodziła córeczkę - Mariam Salomé, to razem z Moniką opiekowałyśmy się dzidziusem, żeby Tina mogła odrobić wszystkie zajęcia.

Pamiętam jak zostałyśmy zaproszone z Monią na urodziny Tini. Przyjechało mnóstwo jej czarnoskórych przyjaciół rozrzuconych w różnych uczelniach po naszym kraju. Było ok. 25 osób, w tym 5 "białych". Przy powitaniu Tina zaznaczała (oczywiście po francusku), że my z Moniką nie jesteśmy "do zabawy" - tylko przyjaciółkami. Chłopcy przyglądając się ciekawie z szacunkiem "cmokali" nas w ręce.

Było mnóstwo smakołyków z Pewexu, na co dzień niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Zabawa była do rana. Teraz pozostały mi na pamiątkę fotografie. Po ukończeniu studiów moja koleżanka wróciła do Zairu skąd pochodziła (dziś Kongo), potem wyszła drugi raz za mąż i urodziła syna. Następnie przeniósł się do RPA, skąd wywędrowała z całą rodziną do Waszyngtonu. Później w Nowym Orleanie skończyła specjalizację i doktorat z ginekologii i położnictwa. Przysłała mi piękny list ze swoim zdjęciem w

tozde. W ogóle nie widać po niej upływu czasu, choć jest ode mnie starsza (ok. 10 lat!). Pisałyśmy do siebie regularnie na każde święta, ale od pewnego czasu kontakt się urwał. Może jak zwykle znów się przeprowadza...?

Miałam jeszcze "wakacje" (czytaj: beztróski urlop, całkowity odpoczynek od zawodowych problemów, czyli tzw. "święty spokój"), kiedy błogą ciszę przerwał dzwonek telefonu. Z drugiego pokoju dobiegał głos mamy: "Dobrze, zaraz poproszę córkę". Szybko pobiegłam, aby odebrać słuchawkę. "Tu Monika Sankowska" - usłyszałam ciepły, lekko zachrypnięty głos. Nie mogłam uwierzyć, że po tylu latach się odezwała. Ostatnią kartkę od Niej dostałam, gdy Przemek był mały, później dostawałam zwroty moich listów. "Monsiu, to naprawdę TY?" Bardzo się ucieszyłam z tego telefonu.

Monika - to moja przyjaciółka z akademika. Mieszkałyśmy w Łodzi "na Lumumbowie" w jednym pokoju ponad dwa lata, dzieląc się dosłownie wszystkim. Czasy były wówczas trudne. Po zakupy spożywcze trzeba była stać w kolejkach. Nam studentkom szkoda było czasu na takie przyziemne zajęcia, toteż co tylko mogłyśmy, przywoziłyśmy z domu. Ja wozilałam jaja, wędliny i łakocie, a Monsia swoje domowe specjalności, wśród których pierwsze miejsce zajmował nasz ulubiony "biały pasztet Moniki". Całą zdobyczną "wałówkę" wkładaliśmy do wspólnej szufladki - czyli za okno lub między szyby. W zimie to była nasza lodówka, która całkiem nieźle zdawała egzamin. W tych latach temperatury w Łodzi zimą dochodziły do minus 27 stopni. Pamiętam, jak ubierałyśmy się na "cebulkę" zakładając na siebie po dwie pary rajstop i pożyczaliśmy sobie wzajemnie co cieplejsze ubrania. Dzięki naszej przyjaźni niejedną ciężką chwilę udało się wspólnie przetrwać. Śniadanie nie zawsze jadałyśmy razem, bo wstawaliśmy o różnych godzinach. Monika studiowała na II potem III roku Wydziału Analizy Medycznej, ja zaś na finiszu IV roku i dwa ostatnie lata do końca studiów mieszkalam w akademiku. Za to kolacje zawsze jadałyśmy razem. Często w większym gronie, ponieważ towarzyszyło i po książki wpadali koledzy z innych grup oraz wydziałów. Nikt nie wychodził od nas głodny. Zawsze bodaj kawałek pasztecika z pasztecikiem Moniki "wciągał" w drzwiach.

Plany zajęć miałyśmy przeładowane, tak więc nawet nie każdego dnia kupowałyśmy obiady w stołówce. Wtedy wpadało się do Horteksu (na ul. Piotrkowskiej) na barszczyk z pasztecikiem i to wystarczało do wieczora. Ale zdarzały się też dni, kiedy nie wyjeżdżałyśmy na sobotę i niedzielę. Wtedy gotowałyśmy obiady w kuchni akademickiej. To dopiero była frajda! Wałkowałam kluski butelką (po płynie na ogół niskoprocentowym), a na obiad schodziło się z półpietra! Czasem dla spóźnialskich nie wystarczało.

Wiadomo - na studiach - raz na wozie, raz pod wozem. Kiedyś którejś z nas nie poszło jakieś kolokwium lub egzamin, druga pocieszała jak mogła "wieszając psy" na wykładowcy albo pocieszałyśmy się wspólnie idąc do cukierni.

Któżby tam liczył kalorie?! Obie miałyśmy zgrabne sylwetki. Monika pożyczała mi "na wojsko" swoją najładniejszą spódnice. Byłyśmy dla siebie rodziną. Ponieważ pokoje w akademiku były trzyosobowe to od czasu do czasu dokoptowywano nam lokatorkę. Dzięki układom Moniki z kierownictwem mogłyśmy sobie wybrać kandydatkę. Jakimś trafem zawsze to były Ewy. Najpierw Ewa z VI roku (z którą uczyłam się wspólnie do interny) a później "Mała Ewa" - z I roku (której obie pomagałyśmy, żeby się nie załamała). Zawsze nam się udało stworzyć zgrany zespół. Nie pamiętam klótni czy awantur. Tempo życia było takie szybkie, że chyba nie miałyśmy na to czasu.

Za to na rozrywkę zawsze był czas. Dzięki Monice nie przegapiłam wielu wspaniałych przedstawień. Zaliczyłyśmy premierę "Fausta" kiedy to jeszcze w Łodzi dyrektorem Teatru Wielkiego był Sławomir Pietras, a choreografią zajmowała się Ewa Wycichowska. Obejrzałyśmy też wiele przedstawień w Teatrze im. St. Jaracza w Łodzi. To wszystko stanowiło doskonałą odszkodowanie od naszej nauki, a może tylko uzupełnienie edukacji.

Monika zawsze miała wycucie piękna i była bardzo subtelna. Taka pozostała do dziś. Mam takie przekonanie po naszej niedawnej rozmowie, która trwała ponad pół godziny, ale nie tylko...

Otóż w ubiegłym roku u jednego z pacjentów Oddziału Zakaźnego w Śremie zauważyłam na okładce kolorowego magazynu zdjęcie Moniki S. Nic się nie zmieniła. (Ostatnio widziałyśmy się na moim ślubie, kiedy była jeszcze studentką). Ten sam uśmiech, ta sama biała cera i ta sama elegancja! Monsia stoi otulona w kaszmirowy szal, a tytuł artykułu - "Szpikowa Dama".

Dowiedziałam się, że spełniły się marzenia mojej przyjaciółki - zawsze chciała robić "coś wielkiego". Teraz jest naukowcem. Od tego jak dobierze prąki DNA dawcy i biorcy - zależy ludzkie życie. To genetyczne metody doboru biorców i dawców szpiku - do przeszczepów - pionierskie zajęcia w Polsce. Monika Sankowska jest autorką wielu publikacji i podręczników transplantologii. Ma wykłady dla studentów. Cztery lata temu odeszła z Instytutu Hematologii do prywatnego laboratorium genetycznego MEDiGEN. Dobierając dawców uratowała wiele istnień ludzkich. Obecnie jest współwłaścicielem NZOZ-u w Warszawie. Teraz będzie się zajmować również chorobami wątroby. To jedno z trudniejszych przeszczepów. Czy to przypadek, że nasze losy znów się splatają? Przecież niedawno interesowałam się tym, kto w Polsce najlepiej wykonuje przeszczepy wątroby. Powiedziała Monice o swoich specjalizacjach. Do Warszawy, ściślej do Moniki zgłosił się pacjent ze Śremu, który podając mój numer telefonu pomógł nam się odnaleźć po latach. Mam zaproszenie do Warszawy. Sądzę, że wkrótce się spotkamy...

Grażyna PERLIŃSKA-SIUDA

Foto: archiwum

UNRUGOWIE



W złotym wieku I Rzeczypospolitej żywe były nasze kontakty z zachodnią Europą, a wielu cudzoziemców fascynowała nasza kultura, historia, nasz ustrój i tolerancja. Toteż niektórzy cudzoziemcy pozostawali w Polsce i szybko ulegali asymilacji. Procesowi temu sprzyjały koligacje rodzinne ze znaczącymi rodami polskimi. Dziś jedynie obce brzmienie nazwiska może wskazywać na pierwotne pochodzenie. Odwdzięczali się oni swej przybranej ojczyźnie służbą publiczną i dorobkiem w nauce. Nie szczędzili krwi, gdy ta nowa ojczyzna znajdowała się w potrzebie i wymagała ofiary. Przykładem procesu asymilacyjnego mogą być, wywodzący się z niemieckiej linii Unruhów - Polscy Unrugowie, którzy na przełomie XV i XVI wieku zaczęli osiedlać się na Śląsku, w Wielkopolsce, głównie na Ziemi Lubuskiej. Spotykamy ich w służbie na dworze króla Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta Starego, w służbach wojskowych, w różnych bitwach m. in. Pod Zbarażem i Wiedniem. W czasie Wiosny Ludów, 9 kwietnia 1848 roku w bitwie pod Miłosławiem, poległ Ludwik Unrug. W powstaniu styczniowym w partii gen. Edmunda Taczanowskiego ginie pod Kołem Kazimierz Unrug. Pamięć obu tych poległych powstańców uczcił w swej mistrzowskiej akwareli Juliusz Kossak. W powstaniu styczniowym, pod Zyszynem, poległ jeszcze Jan Unrug, a w niezwykle krwawej bitwie pod Lututowem poniósł śmierć Zygmunt Unrug. W powstaniu wielkopolskim w 1918/1919, a potem w wojnie 1920 roku z bolszewikami uczestniczyli Wojciech i Włodzimierz Unrug z Sowińca, Wiktor Unrug z Melpina oraz Michał Unrug z Sielca, który potem był oficerem służby stałej w 17 pułku w Lesznie i pełnił służbę dyplomatyczną w Sztokholmie. W 1939 roku w bitwie pod Kutnem traci nogę Piotr Unrug z Piotrowa, a ciężko ranny zostaje Antoni Unrug z Cerekwicy w szarży 18 pułku ułanów pod Krojantami na Pomorzu.

Wież Melpin leży 50 km od Poznania, 10 km na południe od Śremu. Dwór w Melpinie do 1797 roku należał do klasztoru benedyktynów w Lubiniu, który powstał tam w już w 1050 roku. Pierwszy drewniany dwór w Melpinie pobudowany został jeszcze przez mnichów w 1687 roku.

Posiadłość należąca do opactwa benedyktynów w Lubiniu została potwierdzona jako własność przez księcia Przemysła II. W 1535 roku na prośbę opata król Zygmunt

wyraził zgodę na sprzedaż dóbr. Nastąpiło to w 1590 roku, opat lubiński Paweł Chojnacki sprzedał wieś Melpino, Stanisławowi Radzewskiemu za 1500 złotych. W 1604 roku właścicielami byli synowie Stanisława: Krzysztof, Melchior Radzewscy. Przedostatni wykupił majątek od braci, następnie przekazał synom - Stanisławowi, Janowi i Andrzejowi. W 1635 roku Stanisław i Andrzej sprzedali swoje części Janowi za 45000 zł p, on z kolei sprzedał Melpin wraz z należącymi do niego Mórką i Jeleniczewem za 80 000 zł p Andrzejowi z Rogowa Cieleckiemu, ożenionemu z Zuzanną z Zawadzkich. Po nim w 1668 roku odziedziczyli synowie Kazimierz oraz Wojciech, ożeniony z Teresą z Kęszyckich. Synowie Wojciecha - Antoni i Karol sprzedali w 1715 roku posiadłość Stefanowi Czackiemu herbu Swinka za 130 000 zł p. W posiadaniu Czackich pozostawał Melpin do 1753 roku, kiedy zakupili go Radońscy herbu Jasieńczyk. W 1760 roku właścicielem był Kazimierz Radoński starosta dębski, który to scedował swoje prawa do posiadłości na Franciszka Junoszę Bojanowskiego, za 235 000 zł.

Franciszek Bojanowski, ożeniony z Rozalią Koszutską, pozostawał właścicielem dóbr do 1815 roku. Po ojcu majątek przejął syn Franciszka, Ignacy Bojanowski. Po jego śmierci w 1850 roku majątek przeszedł w ręce córki Emilii, która to wniosła Melpin jako posag po swoim ślubie Wiktorowi Unrugowi w 1857 roku. W 1858 roku do drewnianego dworu dobudowano nową część murywaną, która pozostała do dziś. Dwór obejmuje południowo-zachodnią część terenu w kształcie regularnego prostokąta. Teren wypełnia park krajobrazowy z dworem i stawem w środkowej części terenu, z usytuowanym nieco dalej na północ domkiem ogrodnika.

Dwór został zbudowany od podstaw, w nowym miejscu w 1908 roku przez ówczesnego właściciela Melpina Wiktora Unrug. Zaprojektowany przez Ochockiego z Dolska prezentuje formy schyłkowej epoki historyzmu, nawiązujące do architektury barokowej, z pewnymi odniesieniami do renesansu. Jest swego rodzaju historia dotycząca właśnie Melpina. W niedalekim sąsiedztwie

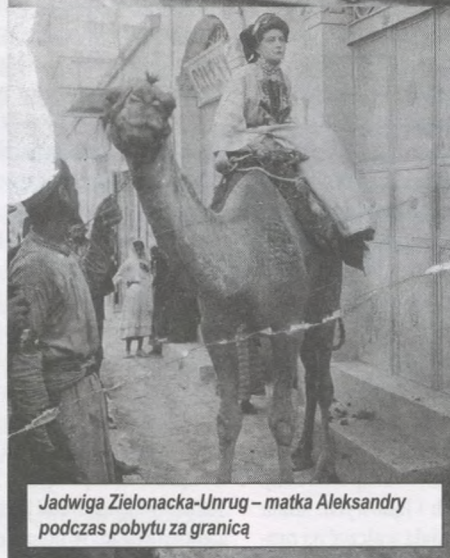
Ola jednak swoje uczucia
ofiarowała porucznikowi lotnic-



Aleksandra Unrug



Ślub Romana i Aleksandry



Jadwiga Zielonacka-Unrug – matka Aleksandry podczas pobytu za granicą

twą, który stacjonował w Bydgoszczy. Rodzina jednak nie akceptowała tego związku. Dzielnym porucznikiem chcąc wyrazić siłę swoich uczuć do Oli, przyjeżdżał do Poznania pociągami, wynajmował z lotniska samolot, nadlatywał nim nad dwór w Melpinie i zrzucał kwiaty. Powtarzał to wielokrotnie. Wszystkim zdawało się, że nie miał większych szans, aby zostać w tej rodzinie, znanej nie tylko w Wielkopolsce. Miłość zwyciężyła wszystkie przeszkody i porucznik Roman Kosiński w 1937 roku został mężem Aleksandry Unrug. Roman Kosiński w randze kapitana-officera RAF-u, zginął w 1941 roku w bitwie o Anglię. Pani Ola Kosińska zmarła w Paryżu w 2000 roku. Nigdy powtórnie nie wyszła za mąż. Ich syn, Roman Kosiński - cji, pracował jako uznany konstruktor lotniczych Desou. Był on jednym z konstruktorów francuskiego samolotu Mirage 2000, który jest myśliwcem wielozadaniowym samolotem bojowym Franch. Pierwotnie został zaprojektowany z technologią. Pierwsza jednostka została osiągnięta gotowość bojową w lipcu 1984 roku. Konstrukcja MIRA-GE 2000 jest oparta na dolnopłacie ze skrzydłem delta. Obecnie powstaje już piąta generacja - MIRA-GE 2000-5. Jednym słowem genialny konstruktor, potomek wspaniałej pary. Rodziców Romana Kosińskiego łączyła wielka, piękna romantyczna miłość, dziś nie ma już tak wielkich porywów i uniesień serca w "tej naszej globalnej wiosce". Ludzie jednak pragną, już może nie w życiu codziennym, takich wydarzeń w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jednak takie historie podświadomie oddziałują na ludzką psychikę. Ludzie czują, wiedzą, że jeszcze gdzieś na świecie istnieją, nie tylko jakieś wy-



Rodzina Unrugów w Krynicy w 1938 r.

dumane li tylko przez poetów, wyidealizowane wyobrażenia o miłości, ale przedstawione wyżej fakty są autentyczne i zdarzyły się wiele lat temu. Tak było "kiedyś", dziś wydaje się anachroniczne, ale czy każdy z nas, nie chciałby przeżyć coś podobnego. Takie są fakty i tak musimy je przyjąć.

W rodzinie Unrugów największą sławę zyskali: kontradmirał Józef Unrug i generał Antoni Unrug. Powstańcem wielkopolskim był Antoni Unrug z Piotrowa, który w uznaniu zasług otrzymał nominację tytularnego generała Wojska Polskiego. Pochowany jest na cmentarzu w Głuszynie. Piękną kartę zapisał Józef Unrug (1884-1973) z Sielca k. Żnina. Miał matkę Niemkę. Ojciec Tadeusz był generałem w królewsko-pruskiej gwardii. Przeniesiono go na przedwczesną emeryturę wiedząc, że wychowuje synów w duchu polskim. W domu w Sielcu mówiło się wyłącznie po polsku, a w bibliotece były wszystkie podstawowe dzieła polskiej literatury i historii. W czasie I wojny światowej Józef Unrug służył w łodziach podwodnych Kriegsmarine. Wiosną 1919 roku zaczyna służyć w powstającej polskiej Marynarce Wojennej. Awansowany na komandora-porucznika, zostaje szefem Sztabu Dowództwa Floty w Pucku. Od 1925 roku jako komandor zostaje Dowódcą Floty. Kontradmirał Józef Michał Hubert Unrug - zasłynął w 1939 roku obroną wybrzeża wyprowadzając całą flotę polskich okrętów wojennych z polskich portów. Grupa Obrony Wybrzeża składała się z sił morskich i lądowych. Miała ona za zadanie obronę Wybrzeża i miała walczyć na pra-

wach armii, w oderwaniu od reszty sił polskich. Zadaniem Obrony Wybrzeża było: osłonić własną mobilizację i ewakuację na Hel, bronić jak najdłużej Helu i Oksywia, bronić Westerplatte. Obrońcy Kępy Oksywskiej, którymi dowodził pułkownik Dąbek, ostatniej poza półwyspem Helskim polskiej rezerwy na Wybrzeżu, nie mieli już złudzeń. Płonęły ostrzeliwane i zbombardowane przez Niemców zabudowania i magazyny wojskowe na Kępie. Stukasy zbombardowały oznaczony flagami Czer-

wonego Krzyża szpital wojskowy. Pod Kępą Oksywską wylądował z Zatoki Puckiej niemiecki desant. Sytuacja stała się beznadziejna. Za pomocą ostatniego środka łączności połączył się z dowódcą obrony Półwyspu Helskiego kontradmirałem Józefem Unrugiem i złożył mu ostatni meldunek. Po krótkich pożegnaniach podwodny kabel odcięto, a jego końcówkę zatopiono w morzu. Kapitułuje 2 października 1939 roku - już po upadku stolicy, po wyczerpaniu wszystkich środków obrony. Przebywał w obozie jenieckim w Murnau. Po wyjściu z niewoli przybywa do Anglii i pozostaje w czynnej służbie do czasu likwidacji polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Kontradmirał zmarł 1 marca 1973 roku. Pochowany został w Montresor we Francji..

Tragiczny był los Franciszka Józefa Unruga (1887-1945). Był synem generała Antoniego Unruga z Piotrowa. Uczęszczał do gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu. Związany był z tym czasie z Towarzystwem Tomasza Zana. W powstaniu wielkopolskim był aktywnym działaczem Straży Obywatelskiej w Poznaniu. Od 1924 roku zarządzał majątkiem rodzinnym Rembowski - Wyszkowem, po posłubieniu Zofii z Dąbskich. Natychmiast po zakończeniu kampanii 1939 roku, Franciszek Unrug zgłosił się do dyspozycji prezydenta Cyryla Ratajskiego. Wspólnie z A. Bnińskim i M. Kwaliaszewicz, oficerem 15 pułku ułanów, podjął działania, których celem było organizowanie związków konspiracyjnych w Wielkopolsce. Przez porucznika Pawełę nawiązał kontakt z Dowództwem - Służba Zwycięstwa Polski. W połowie listopada 1939 roku Franciszek

Unrug otrzymał polecenie wpisania się na Deutsche Volksliste DVL. Wobec oporów i i wahań polecenie to potwierdził A. Bniński. Miało to ułatwić pracę w trudnych warunkach Wielkopolski. Przy pomocy Franciszka Unruga zaczęto druk pisma "Dla ciebie Polsko". Po utworzeniu Delegatury Rządu RP dla ziem wcielonych do Rzeszy- prowadził Unrug z upoważnienia A. Bnińskiego całość spraw związanych z walką cywilną. Od czerwca 1940 roku był szefem "Uprawy" przy Komendancie Okręgu Poznańskiego Związku Walki



Rodzina Unrugów w Krynicy w 1937 r.

Zbrojnej, mającej w zamierzeniach m.in. finansowanie struktury PPP przez ziemian. W latach 1941-1942 kupował broń od żołnierzy niemieckich z lotniska w Mącznikach pod Środą. W majątku Wyszakowo mieścił się punkt nasłuchu radiowego na potrzeby redakcji pism konspiracyjnych. W pobliskich lasach Obredy, pod kierownictwem Franciszka Unruga zbudowane były ziemianki, w których ukrywali się jeńcy alianccy- zbiegowie z transportów. Tam też przechowywana była broń. Inwigilacja niemiecka doprowadziła jednak do aresztowania Unruga 8 lutego 1941 roku. Interwencja jego dalekiej kuzynki- Niemki, Ruth Unruh z Ulejna spowodowała przejściowe zwolnienie. Jednak 10 lutego 1943 roku Franciszek Unrug zostaje wraz z żoną i córką zesłany do miejscowości Gifhorn w Saksonii do pracy w lesie. Tymczasem w Wielkopolsce trwało śledztwo przeciwko żołnierzom AK z okolic Środy. W końcu gestapo uzyskało niezbite dowody aktywnej działalności Unruga. Na polecenie gestapo z Poznania został w lipcu 1944 roku przewieziony do Domu Żołnierza w Poznaniu, gdzie poddany bestialskiemu śledztwu, nie ujawnił żadnych tajemnic organizacyjnych. 7 lipca 1944 roku, osadzony został w Żabikowie, gdzie przebywał do 18 grudnia 1944 roku. Był nadal okrutnie torturowany. W ciągu kontynuowanego śledztwa, 21 grudnia 1944 roku został przekazany do Konzentrazionslager Stutthof, gdzie nadal poddawano go wyrafinowanym torturom. Podczas marszu ewakuacyjnego zmarł z wycieńczenia 19 stycznia 1945 roku.

Spolonizowana część rodziny Unrugów zamieszkująca Wielkopolskę zapłaciła wysoką cenę w obronie polsko-

ści, polskiej racji stanu. Wielkie bohaterstwo, poświęcenie na skalę rzadko spotykaną jest nieodpartą cechą rodziny Unrugów. Można to stwierdzić z całą stanowczością, że już za panowania króla Aleksandra Jagiellończyka, stawali przy królu, gdy wymagała tego ojczyzna. Unrugowie stawali do boju za czasów króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem. Ich uczestnictwo jest potwierdzone w Wiośnie Ludów 1848 roku, w powstaniu styczniowym. Ponadto zaangażowali się również w powstanie wielkopolskie, brali udział w wojnie obronnej 1939 roku.

Byli oddanymi mieszkańcami tej ziemi, mimo niemieckiego pochodzenia. W cokolwiek się angażowali, robili to z wielkim poświęceniem i oddaniem. Trudy codziennego życia znosili z godnością, ich majątki dobrze prosperowały pod względem ekonomicznym. Stawali na "wezwanie" ojczyzny. Wychodzili życiu naprzeciw. Wiedzieli, że nie umkną przed problemami, tylko trzeba się z nimi zmagać i przezwyciężać je. Zachować właściwą postawę wobec zasady - noblesse oblige - czyli, że szlachectwo jest nie przywilejem, ale przede wszystkim obowiązkiem służenia Rzeczypospolitej, jest sprawą bardzo trudną i ogromnie zobowiązującą. Jednak wówczas życie zgodne z tą zasadą jest prawdziwe, nienaganne pod względem moralnym i ludzkim, jest szlachetne, nie zna kompromisów. Są to zasady, prawidła wymyślone dawno, w zamierzchłej przeszłości, ale jakżeś dziś ogromnie potrzebne.

Elżbieta JANKOWSKA

Foto: archiwum

Warto przypomnieć...

...skąd bierze się bunt

Władysław Broniewski urodził się 17 grudnia 1897 r. w Płocku. Był synem Zofii z Lubowidzkich i Antoniego Broniewskiego. Miał dwie starsze siostry - Zofię i Janinę. Dom rodzinny stał na płockiej skarpie, a w ogrodzie za domem rósł kilkusetletni dąb, spod którego wspinał się widać Wisłę i panoramę Płocka. Ojciec pracował jako kasjer w banku. Umarł, kiedy Władysław miał 5 lat. Rodziną zaopiekował się wtedy dziadek, Antoni Lubowidzki - notariusz płockiego sądu, który trzy lata później zmarł. Dom utrzymywała matka, która prowadziła stancję dla uczennic, jak również babka - Jadwiga Lubowidzka, która dawała lekcje gry na fortepianie. Władysław wychowywał się w domu "czterech kobiet" (matka, babka dwie siostry). One uczyły go wrażliwości na poezję i muzykę, krajobraz i przyrodę, innych ludzi, cudzą krzywdę. Matka i babka przekazywały mu również tradycje rodzinne. Rodzina Broniewskich pielęgnowała wspomnienia powstań niepodległościowych.

Dziadek, Jan Bonifacy Broniewski, brał udział w powstaniu listopadowym. Dwaj bracia babki Lubowidzkiej, Walerian i Romuald polegli w powstaniu styczniowym.

Posłano go do Gimnazjum Polskiego w Płocku. Szkoła miała tradycje patriotyczne i utalentowanych pedagogów. Broniewski był uczniem zdolnym, lecz niesfornym. Bardziej niż szkolny program interesowały go lektury i działalność w organizacjach niepodległościowych. Czytał Stefana Żeromskiego, Wyspiańskiego, z pamięci recytował wielkich romantyków. Był koleżeński, wesoły, lubiany przez kolegów. W gimnazjum był współzałożycielem półtajnej drużyny skautów (nawiązującej do tradycji Konstytucji 3 Maja i powstania styczniowego). Skautów obowiązywały: patriotyzm, ofiarność, karność i koleżeńskość. Władek lubił sport, wycieczki, lubił popisywać się sprawnością fizyczną, ale też zaczął pisać wiersze i recytował je kolegom. W 1912 r. w gimnazjum współtworzył tajną sekcję "Strzelca". Miał pseudonim "Orlik". Chodzili na ćwiczenia za miasto, maszerowali, śpiewali ówczesne zakazane piosenki. Broniewski był w gimnazjum również głównym redaktorem czasopisma Młodzi idą, do którego sam pisał większość tekstów i zamieszczał własne wiersze. W 1915 roku Władysław Broniewski wstąpił do Legionów Piłsudskiego. Miał wtedy 17 lat. W 1918 roku wziął udział w manifestacyjnym pochodzie do kwatery Piłsudskiego, śpiewając "Krew naszą długo leją katy" i "Na barykady". Powiewający wtedy na zamku w Warszawie czerwony sztandar nazywał swoim sztandarem. Uważał się za socjalistę, cenił sobie osobistą niezależność, nienawidził terro-

ru i pragmatyzmu. Broniewski otrzymał za zasługi wojenne Srebrny Krzyż Orderu Wojennego Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyż Walecznych.

Nie był zadowolony z reform w powojennej Polsce, co spowodowało radykalizowanie jego poglądów. Zaczynał powątpiewać, czy droga przebudowy reprezentowana przez Piłsudskiego jest właściwa. Zamordowanie Gabriela Narutowicza zadecydowało o zbliżeniu Broniewskiego do lewicy rewolucyjnej. 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę. Broniewski zgłosił się do wojska na ochotnika (był członkiem pospolitego ruszenia). Na rowerze przejechał z Warszawy przez Lublin i Lwów aż do Tarnopola. 12 września otrzymał przydział do Ośrodka Zapasowego 28. Dywizji Piechoty w Zbrazu. Zanim jednak Broniewski miał okazję spotkać wroga, do Polski wkroczyły wojska radzieckie. We wrześniu 1939 roku poeta był świadkiem wejścia Armii Czerwonej do Lwowa. Od tego momentu wszystkie utwory literackie musiały przechodzić przez cenzora. Broniewski nie mógł pogodzić się z tym, że Związek Radziecki napadł na Polskę. W grudniu 1939 roku Broniewski ściągnął do Lwowa Marię Żarebińską z córką Majką, z którą od 1938 roku był w nieformalnym związku. Do Lwowa dostały się dzięki pozwoleniom zdobytym przez Wandę Wasilewską. Na terenach zajętych przez sowietów znalazły się także pierwsza żona Broniewskiego, Janina Broniewska i ich córka Joanna.

Okupanci rozpoczęli tymczasem politykę pozyskiwania znanych artystów. Wielu poetów, szczególnie tych o poglądach umiarkowanie lewicowych, wierząc w nieuchronny wybuch wojny niemiecko-radzieckiej zaczęło ściśle współpracować z nową władzą. Rozpoczęto wydawanie polskojęzycznego propagandowego Czerwonego Sztandaru. Broniewski żył złudzeniem, że przebywając na terenach zajętych przez sowietów będzie mógł bez przeszkód publikować swoje wiersze. W liście do Marka Żywowa, tłumacza jego wierszy, proponuje przetłumaczenie na rosyjski zbiór "Krzyk ostateczny". Tomik ten nigdy nie został wydany w Rosji. Okazało się, iż silna lewicowość i rewolucyjność Władysława Broniewskiego związana jest jednocześnie z głębokim patriotyzmem, co nie podołało się władzom radzieckim.

Czerwony Sztandar publikował jego przedwojenne wiersze dając do zrozumienia, iż redakcja współpracuje z poetą, co było nieprawdą. Ten czołowy poeta polskiej lewicy nie identyfikował się z linią programową tego organu prasowego. Broniewski próbował jednak wykorzystać pismo do przypomnienia "sprawy polskiej", nieobecnej w polityce sowieckiej.

24 stycznia 1940 r. Władysław Broniewski został areszt-



Foto: archiwum

wany we lwowskiej restauracji "Ognisko Inteligencji" pod fałszywym zarzutem pijatki. Przebieg zdarzenia został szczegółowo opisany we wspomnieniach Borwicz, Wata czy Pasternaka. Władysław Daszewski, przyjaciel Broniewskiego, zaprosił m.in. Broniewskiego razem z Marią Zarebińską, Aleksandra i Olę Watów na przyjęcie. Na przyjęciu pojawił się także zaproszony przez Daszyńskiego rosjanin, rzekomo historyk sztuki. Tak przebieg wydarzeń opisał Wat: (przybysz) siada u końca stołu, ma za sobą drzwi zasłonięte kotarą, z jednej strony siedzi ta aktorka, a po drugiej jego stronie siedzi Skuza, parę miejsc dalej Broniewski, a ja z drugiego tam końca, naprzeciwko. Gwar szalony, nic nie słyszę. W pewnej chwili jest jakaś pierepalka, niedobra rozmowa między tym sowietem a Władkiem Broniewskim, widzę, że Broniewski zaciska zęby i mówi przez zęby. Już się zaczyna niedobra rozmowa między nimi, tak na krzyż. I widzę, że Skuza nachyla się do tej aktorki, coś jej mówi, a między nim a aktorką jest ten sowiet. I wtedy sowiet daje Skuzie w mordę, ściga obrus, wszystko leci ze stołu, butelki, szklanki, talerze.[...] To był prawdopodobnie sygnał, bo w tej chwili wylatuje zza kotar dwóch atletycznych, kusych w granatowo-ciemnych ubraniach, geby kwadratowe. Nie wpadają szybko, tylko tanecznie i trach na prawo, trach na lewo, biją[...] Po chwili milicja wkroczyła na salę, nikogo nie wypuszczają."

Jerzy Putrament wezwał Ważyka, Szemplińską i Piacha, i zaproponował im napisanie deklaracji potępiającej aresztowanych. Dopiero Wasilewskiej udało się stłumić tę inicjatywę. Jednak w aktach sprawy pozostały nieprawdziwe oświadczenia Borejszy, Putramenta, Piacha i Pareckiego obciążające Broniewskiego. Osoby zatrzymane podczas tej prowokacji zostały przewiezione do ciężkiego więzienia lwowskiego na Zamarstynowie. W celi Wata (o pow. 11,5 m/kw) przetrzymywano 28 więźniów. Nęcano się psychicznie (częste przeszuchania) i fizycznie (niewielkie racje żywnościowe, brak sienników, nieregularne spacerzy). Kąpiel dostępna była tylko raz w miesiącu. Poeta miał żal do ludzi. Po zapoznaniu się z zeznaniami Borejszy, Putramenta, Piacha i Pareckiego czuł się mocno rozczarowany. W tym miejscu Broniewski wykazał się ogromną siłą i hartem ducha. Za korzystanie z więziennego alfabetu, razem z Watem zostali wtrąceni do karceru.

W maju 1940 roku został przetransportowany do więzienia NKWD na Łubiance, gdzie spędził trzynaście miesięcy. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej wywieziono go do Saratowa, a następnie do Alma-Aty, gdzie 7 sierpnia 1941 r. został wypuszczony. Po opuszczeniu więzienia poeta bardzo niechętnie wracał do tego okresu. Nigdy nie podpisywał się tym zatrzymaniem i nie robił z siebie męczennika. Kilka wierszy, które powstały w więzieniu poeta przechowywał w pamięci, gdyż nie można było robić absolutnie żadnych notatek.

W oficjalnych wydawnictwach przemilczano także fakt, iż Broniewski znalazł się w armii gen. Andersa. W tej kwestii pozwolę sobie przytoczyć kilka uwag Sławomira Kędzierskiego, kierownika Muzeum Broniewskiego: [...] jedna uwaga na temat armii Andersa. Broniewski ku swojemu żalowi (ale chyba na szczęście) nie walczył w jej szeregach. Najpierw był oficerem oświatowym, a potem - po konflikcie z częścią kadry ofi-

cerskiej po części spowodowanym jego poglądami, a po części złośliwą fraszką na generała Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, (zresztą o ile się orientuję jego jakiegoś dalekiego krewnego) został "bezterminowo urlopowany" z wojska i przydzielony do PIC-u (Polish Information Centre - Polski Ośrodek Informacyjny) w Jerozolimie.

W 1945 roku wrócił do kraju. Związał się z obozem lewicy marksistowskiej, próbował nawiązywać do tonu swojej twórczości sprzed wojny. W tych latach powstały - ze wspomnień wojennych i tułaczki - najpiękniejsze zbiory wierszy: Bagnet na broń i Drzewo rozpaczające, cenzurą objęte były jednak jego wiersze więzienne, tzw. lwowskie. Przez lata usiłowano wtłoczyć Broniewskiego w wąskie ramy poety-lewicowca sławiącego przemiany ustrojowe w Polsce Ludowej. Jednak jest to twórczość niezwykle różnorodna, o czym może świadczyć fakt, że znalazł się w niej zarówno wiersz Słowo o Stalinie, jak i przemilczana przez lata antystalinowska Rozmowa z historią.

Władysław Broniewski zmarł 10 lutego 1962 roku.

Adam LEWANDOWSKI

Wykorzystano informacje z Muzeum Władysława Broniewskiego.

Warum

Miła, ja nie mam słów,
a miałem dość ich.
Nie wiem, skąd bierze się znów
ten lęk radości.

Czemu znów serce drży
jak wtedy wiosną,
a lzy zabłysły jak bzy,
co w Polsce rosną.

Tkliwość. I morza szum.
I noc co milczy.
Na Schumannowskie "Warum?" -
twój szept: "Najmilszy!..."

I trzeba było tych mąk
i tej rozpacz,
gdy dwoje splecionych rąk
tak wiele znaczy?
Bezsensowność

Nie śpię, spać ci nie daję, palę papierosy;
na stole: budzik, chleb, dwie żółte chryzantemy,
listopadowy wiatr za szybami krzyczy wniebogłosy,
ja jestem niemy,
tylko na kształt krzywego drewna
wykrzywiam się na ten wszechświat...
Śpij, moja dobra, rzewna,
ja nie śpię.
Jeśli chcesz, to mi odbierz papierosy,
albo rękę połóż na włosy,
do snu się każ ukołysać,
naucz, jak wiersze pisać.

KARPATY WSCHODNIE

Czarnohora, Gorgany, Czywczyn, Prut, Czeremosz, Huculi - to nazwy tak bliskie, a tak odległe zarazem. Bliskie - bo historycznie tkwią w naszej kulturze tradycji, wspomnieniach poprzednich pokoleń. Odległe - bo znikoma ilość wydanych po wojnie map i przewodników (i to zarówno polskich jak i ukraińskich), niedostępność materiałów przedwojennych, utrzymujące się przez ponad czterdzieści lat trudności z wyjazdem nie przybliżały kolejnym pokoleniom tych gór. A są to miejsca bardzo atrakcyjne pod wieloma względami. Duża różnorodność form ukształtowania terenu (od dzikich złomowisk Gorganów, przez ogromne - przypominające Tatry Zachodnie - szczyty i kotły połodowcowe Czarnohory, po bezkresne Poloniny Hryniawskie i Czywczynskie - największe poloniny Karpat Wschodnich, bardzo atrakcyjna szata roślinna, legendarni Huculi - wszystko to czyni łakomym kąskiem dla "rasowego łazika".

Ostatnie lata zaczęły wreszcie przynosić znaczną poprawę. Ułatwienia w ruchu granicznym, pewna (choć ciągle jeszcze mocno niewystarczająca) ilość materiałów informacyjnych, pionierska działalność kilku polskich biur podróży współorganizujących turystykę na tym terenie sprawiły, że Karpaty Wschodnie - dotąd symbol niedostępności - stały się jakby bliższe.

Jednym z biur turystycznych, które odegrały w tym procesie pewną rolę, jest nasze biuro "Trek-1" z Przemyśla. Już od 1991 roku organizuje ono konsekwentnie wyjazdy w różne partie ukraińskich Karpat Wschodnich (Bieszczady, Gorgany, Borżawa, Świdowiec, Czarnohora, Poloniny Hryniawskie).

Przez te lata zebrałem sporą ilość fotografii wykonanych przez uczestników naszych wspólnych wypraw. Nie wielką część przedstawiam na tej wystawie.

Z turystycznym pozdrowieniem
Antoni Pasich

FOLKLOR HUCULSKI

Strój huculski

Piękny strój huculski, różni się pewnymi szczegółami w zależności od okolicy. Obecnie następuje powolne odrodzenie stroju huculskiego, wyniszczanego w minionym okresie. Tak w lecie jak i zimą kobiety i mężczyźni nosili ozdobne kierpaty, tj. kożuszki bez rękawów z kolorowymi

naszywkami, charakterystyczne dla danego regionu. Wierzchnią częścią stroju był także sierak (serdak) brązowy, czerwony, rzadziej czarny. Do konnej jazdy używali gugli i manty. Gugla dla kobiet to rodzaj peleryny sięgającej do kostek, zapinana na piersiach mosiężnymi klamrami. Manta to strój męski przypominający długi sierak z kapiszonem. Gula i manta wykonana była z szarego sukna z kolorowymi naszywkami. Na nogach noszono postoly (kierpce), o prostych lub podniesionych spicach. Kobiety nosiły zamiast spódnicy dwie zapaski, tj. szerokie fartuchy, jedną z przodu, drugą z tyłu, zachodzące na siebie. Wyszywane były czerwoną i czarną włóczką. Na rękawach koszul, nad łokciem miały artystycznie wyszywane pasy. Dziewczęta nosiły chusty, a starsze kobiety zawoje podobne do turbanów.

Tańce

Z życiem Huculi związane są tańce, często obrzędowe, odbywające się przy orkiestrze huculskiej. W skład jej wchodzi skrzypce, cymbały, bęben, florela, czyli wielki huculski flet, czasami kontrabas, a trombica bardzo rzadko. Ulubionym tańcem mężczyzn jest "arkan", a wspólny dla mężczyzn i kobiet był popularny "hopok". Starsi chwaliли ich za szacunek i miłość do tego co minęło.

Pieśni

Chętnie śpiewane były pochodzące z tamtych stron pieśni zwane kołomyjkami. Piosenki były dowcipne, a czasami złośliwe. Oto tekst jednej, śpiewanej na poloninie pod Hawerlą:

Oj, była mene maty za panycaz dwiezi, szoby ja sy ne dywyla panyczywu w wiezi. Chocz ty mene moja maty za panyczu ubyj to ja wyjdu na wulyciu, panyczyku lubyj.

Niezliczona ilość pieśni powstała na temat Dobosza. Oto jedna z takich dumek:

*Oj, popid haj zaleneńki,
Chodyt Dobosz malodeńkij,
To prcem sia podpiraje,
Taj na chłopciw poklykaje.*

Autorami byli Huculi, a spisywali je turyści i etnografowie. Także Polacy. Pierwszym był Franciszek Karpiński (1741-1825) zwany "poetą serca". Pieśń odzwierciedlała

tryb życia czarnohorskich górali. "Czerwony pas" został napisany przez Józefa Korzeniowskiego (1797-1863) do dramatu "Karpaccy górale". Śpiewa ją stary Hucuł Maksym Tychoniuk, wuj Praksedy, a wtóruje mu na flojerze Fedor, sąsiad i przyjaciel.

*Czerwony płaszcz, za pasem broń
i topór, co błyszczą z dala
wesół myśl, swobodna dłoń,
to strój, to życie górali*

Trembita

Jest narodowym instrumentem muzycznym Huculów. Trembita towarzyszy Hucułowi w najważniejszych chwilach jego życia. Ogłasza po górach i połoninach urodziny dziecka, chrzest w cerkwi, wprowadzanie bydła na połoniny, powrót marzyny do domu. Oznajmia ślub legina z dziewczyną, ogłasza śmierć i żegna Hucula na zawsze.

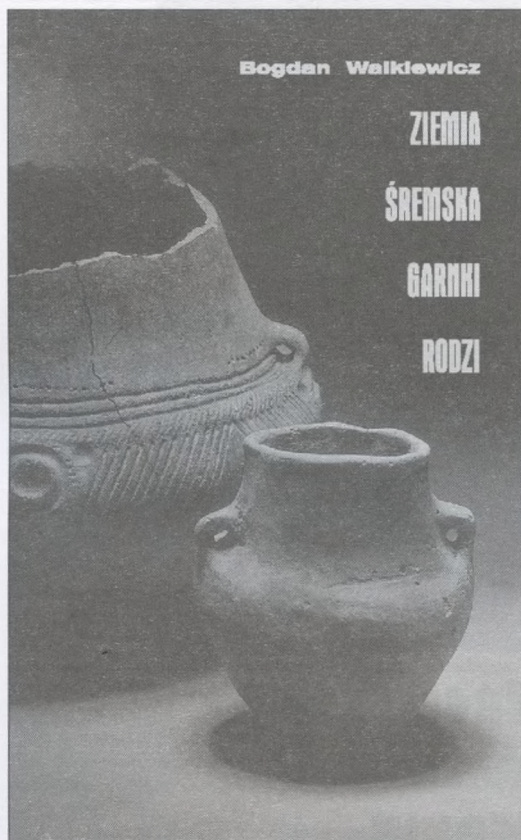
Posiżynie

Śmierć Hucula ogłaszają trembity, zaś mężczyźni obmywają go i odziewają w najlepsze ubranie, palą świece i kładą na piersi drobne pieniądze. Starsi rozmawiają o zmarłym, sławiąc jego zalety, a młodzież zaczyna zabawy, różne gry i wygłupy - by uciszyć żal po zmarłym. Nazywa się to "posiżynie". Spożywają przy tym "kamasznicę" (posilek) w izbie, gdzie leży zmarły. Odprowadza się gazdę do ostatniej "kolyby" w trumnie o dwóch okienkach, by mógł patrzeć ze swojej chaty jak za życia. Gazdom towarzyszą chorągwie świątecznych na koniu.

Marian CHUDY

MUZEUM ŚREMSKIE

zaprasza
październik



JUŻ W SPRZEDAŻY
DO NABYCIA

KSIĘGARNIA
PRZY RYNKU

KSIĘGARNIA
JEZIORANY
UL. CHŁAPOWSKIEGO
MUZEUM ŚREMSKIE



Galeria'99

Katarzyna Własińska pejzaże 2000 - 2003

Katarzyna Własińska urodziła się w Krakowie, gdzie obecnie studiuje na Wydziale Malarstwa na V roku Akademii Sztuk Pięknych.

Stypendystka Anotati Scholi Kalon Technon w Atenach, kierunków: malarstwo i mozaika. Prezentowany cykl pejzaży składa się z obrazów malowanych w latach 2000-2003.



**MUZEUM ŚREMSKIE
ZAPRASZA
PAŹDZIERNIK**



KINO SŁONKO ZAPRASZA we WRZEŚNIU

EQUILIBRIUM

12 - 15. 09. godz. 19:00

W przyszłości, w miejscu o nazwie Libria, żyje społeczeństwo, które tłumi wszystkie emocje. Codziennie każdy z obywateli musi zażywać przepisaną przez rząd dawkę leku prozium, zabijającego uczucia. Każdy, kto uchyla się od tego obowiązku, każdy kto czuje, zostaje z miejsca likwidowany, jako jednostka niepożądana. John Preston dokonuje egzekucji nielicznych buntowników. Pewnego dnia, spotkanie z należąca do nich kobietą zmienia jego życie na zawsze. John rzuca służbę dla reżimu i odstawia truciznę. Od tej chwili cały swój talent poświęca ratowaniu ludzi i zniszczeniu społeczeństwa zła.

Ratowawiec s.f. prod. USA, reż. Kurt Wimmer, czas: 107 min.

Wyst. Christian Blake, Sean Bean, Emily Watson

ŁZY SŁONCA

19 - 22. 09. godz. 19:00

Oddział Navy SEAL-s dowodzony przez porucznika Watersa (Bruce Willis) dostaje rozkaz by ewakuować z misji humanitarnej w Nigerii panią doktor Lenę Kendricks (Monica Bellucci). Prosta z pozoru misja komplikuje się na miejscu, kiedy dr Kendricks postanawia nie zostawiać swoich podopiecznych z misji. Wspaniały a zarazem straszny film, ukazujący widzowi okrucieństwo wojny, a także to, że czasem nawet u zawodowych żołnierzy wyszkolonych do zabijania i wykonywania rozkazów bez szemrania, odzywa się sumienie - co prowadzić może tylko do sprzeniewierzenia się przelożonym i zrobienia rzeczy sprzecnej z wytycznymi dowództwa....

Film akcji prod. USA, reż. Antoine Fuqua, czas: 121 min.

Wyst. Bruce Willis, Monica Bellucci

FORMUŁA

26 - 29. 09. godz. 19:00

Elmo McElroy, geniusz chemiczny, wynalazł narkotyk 51 razy lepszy od innych specyfików. Przebrany za szkockiego golfiarza przyjeżdża do Liverpoolu, aby wprowadzić swój produkt na rynek europejski. Jego przewodnikiem po miejscowym półświatku i nocnych klubach zostaje Felix De Souza, zagorzały przeciwnik wszystkiego, co amerykańskie. Elmo i Felix połączą swe siły, gdy okaże się, że ściga ich płatna zabójczyni, Dakota.

Komedia sensacyjna prod. USA, reż. Ronny Yu, czas: 92 min.

Wyst. Samuel L. Jackson, Meat Loaf, Emily Mortimer

SINDBAD: LEGENDA SIEMIU MÓRZ

4 - 5.10. godz. 17:00

Kolejny powrót baśniowej postaci Sindbada Żeglarza. Bohater wyrusza w kolejną swoją podróż przez nieznanne morza i krainy. Czekają go niebezpieczeństwa i przygody, spotkanie z Eris-Boginią Chaosu, rywalizacja z Proteusem i nowi przyjaciele. Film animowany prod. USA, czas: 85 min.

LARA CROFT TOMB RIDER: KOLEBKA ŻYCIA

4 - 5.10. godz. 19:00

Kryjąca w swoim wnętrzu nieznanne dotąd ludzkości siły zła, puszka Pan-

dory ukryta jest na kontynencie afrykańskim, na obszarze znanym jako 'kolebka życia'. Zadaniem światowej sławy badacza grobów - Tomb Ridera - Lary Croft (Angelina Jolie) jest znalezienie tego okrytego złą sławą przedmiotu zanim wpadnie on w ręce maniakałnego naukowca, zdobywcy nagrody Nobla Dr Jonathana Reissa (Ciarrán Hinds). Mający w swoich zamiarach okiełznanie na własny użytek siły zła, Reiss musi zostać za wszelką cenę powstrzymany.

Film przygodowy prod. USA, reż. Jan de Bont, czas: 130 min.

Wyst. Angelina Jolie, Noah Taylor

DKF KLAPS - co wtorek o godz. 19:00

EDEN - 16.09.

Pełnometrażowy film animowany przeznaczony dla widzów dorosłych - dzieło życia Andrzeja Czczota - znanego rysownika i ilustratora, żyjącego wiele lat na emigracji w Stanach Zjednoczonych. EDEN opowiada o przygodach Youzecka, "czczotowego everymana", który podróżuje kolejno przez Piekło, Niebo, by wreszcie na pokładzie Arki Noego wylądować w Nowym Jorku. Na swej drodze bohater spotyka mnóstwo znanych postaci: Prometeusza, Janosika, Salvadora Dalego, Elvisa Presleya, orkiestrę z Titanica, Clintona z Moniką Lewinsky, masę dziwnych zwierząt i potworów, anioły, czarownice, a nawet samego Pana Boga. Obraz, w całości malowany ręcznie, powstał na taśmie celuloidowej. Prace nad filmem trwały od 1996 do 2002 roku.

Animowany prod. Polska 2003, reż. Andrzej Czczot, muz. Michał Urbaniak

CI KTÓRZY MNIE KOCHAJĄ WSIĄDĄ DO POCIAGU - 23. 09.

Na łożu śmierci malarz Jean-Baptiste Emmerich zapowiada, że 'ci, którzy go kochają, wsiądą do pociągu'. Następnie umiera. Do pociągu na cmentarz Limoges wsiadają wszyscy jego przyjaciele, ci prawdziwi i ci fałszywi, spadkobiercy z prawego i nieprawego łoża, bliższa i dalsza rodzina - niektórzy jej członkowie spotykają się wyłącznie na pogrzebach.

Dramat prod. Francja, reż. Patrice Chéreau

Wyst. Dominique Blanc, Vincent Perez

GENERAL - 30. 09. godz. 19:00

Dublin, rok 1994: znany gangster zostaje zastrzelony przed swym domem. Następuje retrospekcja, która ukazuje interesującą opowiedzianą historię Martina Cahilla. Pochodził z biednej dzielnicy, nie znał swego ojca, od najmłodszych lat kradł żywność dla matki i rodzeństwa. Częste pobytu w więzieniu nauczyły go sprytu, policja nie daje sobie z nim rady. Nie uznawał żadnych praw - ogromną radość sprawiało ośmieszanie policji, Kościoła i establishmentu. Martin zorganizował szereg zuchwałych i starannie przygotowanych napadów rabunkowych, dzięki którym zdobył przydomek "Generała".

Kryminał prod. Irlandia, reż. John Boorman, czas: 126.

Wyk. Brendan Gleeson, Adrian Dunbar

**UWAGA! OD PAŹDZIERNIKA KINO ZAPRASZA
W WEEKENDY TYLKO W SOBOTĘ I NIEDZIELĘ.**



Mariusz Czajka
telewizja Relax

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938, e-mail: muzeum@nx.pl

Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Wydawca: Urząd Miejski w Śremie

Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO, Śrem, tel./fax (061)28-30-216, e-mail: wigo@pro.onet.pl

Druk: S. Tomczak, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.



KARPATY WSCHODNIE FOLKLOR HUCULSKI

wystawa
październik

Oddział Poznański PTTK im. Bernarda Chrzanowskiego,
Muzeum Śremskie zapraszają

